



CAROLE MORTIMER

Opętana

PROLOG

- Czy przyszedłeś, Falcon, by napawać się moim upokorzeniem? Czyżbyś czerpał jakąś chorobliwą rozkosz z przyglądania się przedśmiertnym drgawkom swych ofiar?

Nabrzmiały pogardą głos ojca dobiegł ją od strony drzwi, przez które dopiero co weszli obaj mężczyźni. Stała za zasłoną wykuszowego okna gabinetu. Ukryła się tu przed nianią i obowiązkami związanymi z nauką i odrabianiem lekcji. Przebywała w domu, gdyż padła ofiarą epidemii świnki, która zdziesiątkowała uczniów jej szkoły. I teraz, kiedy czuła się już lepiej, ani myślała śpieszyć się z rozkładaniem zeszytów i książek. Z choroby musiała wypływać jakaś korzyść, choćby tylko sprowadzona do słodkiego lenistwa. I dlatego właśnie postanowiła zniknąć. Gabinet ojca był wspaniałą kryjówką. Niani nigdy by nie przyszło do głowy szukać jej tutaj.

- Sam sobie jesteś winien, Howardzie.

Słowa te, w odróżnieniu od gniewnych i wzgardliwych słów ojca, powiedziane zostały tak cicho, że ledwie je usłyszała, niemniej wyczuła w nich - choć miała dopiero dziewięć lat - jakąś ogromną siłę.

- A czy pozostawiłeś mi jakiś wybór? I dopiąłeś swego, łajdaku. Wszystko teraz należy do ciebie. Moje przedsiębiorstwo, mój dom, moja... Dobry

Boże, chcesz mi nawet zabrać moją dumę. Ludzie twojego pokroju napawają mnie odrazą.

Zasady dobrego wychowania zabraniały jej podsłuchiwać, nakazując równocześnie ujawnić swoją obecność. Trudno było jednak podjąć tę śmiałą decyzję. Intuicja podpowiadała jej, że gdyby teraz wyszła zza kotary, zadałaby ojcu być może większy ból niż tamten okropny człowiek.

Zadrzała. Chalford, jej ukochany dom, miał przejść razem ze wszystkim w obce ręce. W ręce tego potwora, któremu nawet nie mogła dokładnie się przypatrzeć ze swego ukrycia.

Wszystko, co dostrzegła, to ogólny zarys sylwetki, emanującej niebywałą siłą.

Jak gdyby wyczuł, że jest obserwowany, gdyż odwrócił się w jej kierunku. Szybko schowała głowę. Wstrzymała oddech. Czekwała w paroksyzmie dławiącego strachu, aż wywlecze ją zza zasłony na środek pokoju i postawi przed obliczem ojca. Och, lękała się nie tyle jego gniewu, co gorzkiego zawodu, jaki mu mogła sprawić. Ale zegar na ścianie odmierzał sekundy i nic się nie działo.

- Nikt cię do niczego nie zmuszał i nie przykładał noża do gardła, Howardzie. Wszystko, co uczyniłeś, uczyniłeś jako człowiek wolny.

- A jakże, wolny! - Głos ojca kipiał sarkazmem. - Wolny i łatwowierny, aby tacy dranie jak ty zawsze mogli wyjmować coś ze swoich zdradzieckich potrzeb.

- Skoro, jak twierdzisz, wpadłeś w pułapkę, to winić raczej za to swoją nienasyconą pazerność.

Zacisnęła pięści w bezsilnym gniewie. Jak śmiało mówić w ten sposób do jej ukochanego tatusia, najmądrzejszego i najcudowniejszego człowieka pod słońcem? Gdybyż mogła wybiec, kopnąć go w kostkę i zmusić do odwołania tych słów!

- Zaufałem ci, Falcon, i był to jedyny mój błąd - powiedział ojciec. - A teraz wynoś się stąd. Chalford nie należy jeszcze do ciebie. Więc dokąd prawnicy nie wypichną odpowiednich dokumentów, nie chcę cię więcej widzieć w moim domu. Wynoś się stąd i nie zapomnij zabrać ze sobą Janette.

Janette? Dlaczego jej macocha miała pójść z tym człowiekiem, którego ojciec najwyraźniej nienawidził? Przecież nie miało to najmniejszego sensu.

- Nie chcę twojej żony, Howardzie. Nigdy nie chciałem.

- Posłużyła ci jako narzędzie! - wykrzyknął ojciec z bezgraniczną pogardą. - Nie chcę przebywać z nią ani chwili dłużej!

- To sprawa między wami - odparł mężczyzna chłodnym, opanowanym głosem. - Interesuje mnie tylko...

- Wiem, co cię interesuje, Falcon - przerwał mu ojciec. - Ale ha mój dom będziesz musiał jeszcze poczekać. A teraz uprzedzam. Jeśli natychmiast nie opuścisz tego miejsca, wezwę policję, aby siłą cię stąd usunęła. Myślę, że z przyjemnością przeczytasz potem o sobie w gazetach.

W gabinecie zapadła cisza. Nie rozumiała wszystkiego, wiedziała jednak, że ojciec nie tyle rozmawia z Falconem, co toczy z nim śmiertelny bój.

- W porządku - zgodził się w końcu mężczyzna. Usłyszała, jak idzie w kierunku drzwi. - Mam nadzieję, że kiedy odzyskasz spokój i minimum równowagi duchowej, spotkamy się i wrócimy do poruszonych tu tematów.

-A ja mam nadzieję, że będziesz się trzymał z daleka ode mnie i mojej rodziny!

Drzwi otworzyły się i natychmiast zamknęły. W pokoju zapanowała grobowa cisza.

Chciała wybiec z kryjówki, przytulić się do ojca i wyznać mu, że ona również nienawidzi tego Falcona i nie pozwoli, żeby taki zły człowiek zamieszkał w ich ukochanym Chalford! Lecz postępując zgodnie z odruchem serca, zdradziłaby tym samym przed ojcem, że słyszała wszystko od początku do końca, a więc była świadkiem jego udręki.

Nie, zostanie tu do chwili, aż tatuś opuści gabinet. Zresztą zbliżała się pora podwieczorku i powinien niedługo przejść do saloniku, by wypić razem z rodziną herbatę.

Teraz jednak usiadł przy biurku i otwierał szufladę po szufladzie, jakby czegoś w nich szukał. Minuty płynęły i coraz trudniej było jej zachować nieruchomą pozycję. Nagle, kiedy już niemal zdecydowała, że tak czy inaczej musi usiąść, gdyż zaraz

zdrętwiały i bolące nogi same się ugnęły w kolanach, rozległ się przerażający huk.

W pierwszym momencie, ogłuszona sparaliżowana, nie wiedziała, co się stało. Ale gdy początkowy szok minął, rozpoznała strzał. Tak, odgłos, który przed chwilą usłyszała, mógł być tylko strzałem, gdyż niewiele różnił się od tych na polowaniach, na jakie ostatniej zimy zabierał ją ojciec. Był tylko dwa albo trzy razy silniejszy, jakby wzmocniony przez ściany pokoju.

A potem wszystko potoczyło się w błyskawicznym tempie. Ktoś biegł, ktoś otworzył drzwi, ktoś wpadł do gabinetu, ktoś wykrzyknął strasznym- głosem: „Mój Boże!”.

Wyszła zza kotary i zbliżyła się do biurka. Spojrzała na leżącego połową ciała na blacie człowieka. To nie mógł być jej tatuś! Ta wielka groteskowa lalka

z pomalowaną na czerwono głową nie mogła być jej ojcem! Krew! Krew była wszędzie. Na błękitnej koszuli i marynarce, na biurku i na dywanie. Rozlewała się i skapywała niczym sok pomidorowy z przewróconego kubka.

Otworzyła usta do krzyku. Z jej warg nie wydobył się jednak żaden dźwięk. Straciła przytomność.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Ubieranie panien młodych to dla mnie nie pierwszozna, Di - powiedziała Joanna, podwójna rozwódka, upinając z zawodową wprawą kremowy długi welon. —No i tylko przypatrz, przypatrz się sobie...

- Nieziemska! - wykrzyknęła Cally, wpadając do pokoju, gdzie przed lustrem stała zjawiskowa piękność, ubrana w ślubną suknię.

- Skończenie piękna. - Joanna wołała swoje określenie, - Oczywiście, w pewnym stopniu jest to zasługa tej sukni...

-Jest to zasługa wyłącznie tej sukni - poprawiła Diana, dmuchając w woalkę zwisającą z perłowego diademu, zdobiącego jej włosy. - Charles będzie zachwycony.

- Niechby spróbował nie być! - odparła starsza kobieta z gniewnym pomrukiem, po czym raz jeszcze krytycznym i uważnym wzrokiem obrzuciła całą kreację.

- Lepiej już wyjdź i pokaż się, Di - poradziła Cally. Zanim nerwy nie uczynią z Charlesa ruiny człowieka.

- A to niby dlaczego mamy go oszczędzać? - zapytała Joanna, której mina świadczyła, że jest w pełni Zadowolona z wykonanej roboty. - Czy on przez ten tydzień litował się nad nami?

Suknia faktycznie była arcydziełem, a ubrana w nią prześliczna dziewczyna nadawała krawieckiej kompozycji rangę i charakter dzieła natchnionego.

- Och, mój Boże, z tego wszystkiego wyleciała mi z głowy najważniejsza rzecz! - wykrzyknęła Cally, podbiegając do baśniowej panny młodej. - Ten tajemniczy gość wreszcie się pojawił. To Reece Falcon.

Wymienienie imienia i nazwiska obliczone było na piorunujący efekt, ale twarz Diany przesłaniał welon i Cally niczego nie mogła wypatrzeć. Gdyby jednak zajrzała za mieniające się koronki, zobaczyłaby poblądłe policzki, płonące zielone oczy i drżące usta.

- Ojciec Chrisa - dodała wobec milczenia przyjaciółki. — Tego samego Christophera Falcona, który od tygodnia przysyła ci czerwone róże,

Diana przełknęła ślinę. Próbowwała odzyskać panowanie nad sobą. To był naprawdę grom z jasnego nieba, cios w samo serce. Wiedziała oczywiście, że kiedyś będzie musiała z nim się spotkać, lecz pocieszała się myślą, że rok, dzień i godzinę tego spotkania sama wybierze. A tymczasem Reece Falcon przejął inicjatywę, spychając ją tym samym do głębokiej defensywy. Jak zdobył zaproszenie, nie miała pojęcia, wiedziała jedynie, że dla tak ważnej osobistości tyło to śmiesznie łatwe.

Cally czuła się już trochę poirytowana brakiem reakcji na tak sensacyjną wiadomość.

-Diana...

- Odlóż to na później - wtrąciła się Joanna. - Słyszę, że Charles przygotowuje się do finału. Jeszcze gotów dostać apopleksji, gdyby Diana spóźniła się z wyjściem.

- Uchowaj Boże, by panna młoda zjawiała się po czasie - powiedziała Diana ironicznym tonem, czując, iż odzyskuje pełną kontrolę nad swymi emocjami.

Ostatecznie Reece Falcon był tylko człowiekiem. Pancierz jego buty i pewności siebie musiał posiadać jakieś szczeliny. Być może jedną czy dwie uda się jej wypatrzeć. Zresztą obojętnie, co go skłoniło do przyścia tutaj, nie mógł już jej skrzywdzić ani duchowo, ani fizycznie.

- Mówię ci, Di, na twój widok niejedna paniusia przełknie łzę, a mężczyznom zachce się rozwodów i ponownych ślubów - zauważyła Joanna.

Diana podziękowała jasnym uśmiechem i opuściła pokój. Szła korytarzem ku światłom i gwarowi głosów. Stała u wyjścia, a potem na dany znak ukazała się publiczności. Zapadła najpierw cisza, ów hołd złożony objawieniu, by zaraz przemienić się w szum westchnień i szmer komentarzy. Nawet elokwentny Charles, projektant tej sukni i konferansjer pokazu, po zapowiedzi: „Boska Oblubienica” zamilkł olśniony.

Już od tygodnia Diana prezentowała w Paryżu z profesjonalnym wdziękiem „Boską Kolekcję” Charlesa.

Zadebiutowała w zawodzie modelki cztery lata temu. Jej agent zareklamował ją na starcie jako Boską Dianę. Łut szczęścia, idealne warunki fizyczne i wyteżona praca sprawiły, że kariera rozwinęła się świetnie. Z Boskiej Diany została sama Boska. Paryska prezentacja ostatniej ekskluzywnej kolekcji, adresowanej do bardzo wąskiego

grona klientek i dopasowanej nazwą do pseudonimu modelki, okazała się tyleż jej osobistym sukcesem, co niewątpliwym triumfem Charlesa jako projektanta.

Uniósłszy lekko głowę, płynęła po wybiegu, obitym ciemno wiśniowym pluszem, w szpalerze płonących spojrzeń i westchnień pożądania. Interesowała ją jednak w tej chwili reakcja tylko jednego człowieka. Siedział w pierwszym rzędzie u końca długiej platformy, a więc szła wprost na niego. To krzesło przez sześć poprzednich wieczorów pozostawało puste, i to w jakiś prawie szyderczy sposób. Przypominało dziurę po trzonowym zębie w szerokim uśmiechu gwiazdy filmowej. Skupiało uwagę, budziło ciekawość, intrygowało aż do udrczenia, gdyż nie słyszano dotąd, by ktoś mając zarezerwowane miejsce, nie zjawił się na paryskich pokazach mody.

Lecz dzisiaj krzesło było zajęte. Wypełniał je swoją ogromną posturą Reece Falcon, bardziej drapieżna bestia niż człowiek, i wbijał w nią zimne spojrzenie swoich stalowych oczu. Wiedziała, że chce przeniknąć nim przez woalkę, dotrzeć do twarzy, a może nawet jeszcze dalej, gdzieś w głąb jej duszy, ale błyszcząca ażurowa tkanina maskowała ją nader skutecznie. Ona natomiast widziała całą brutalną wyrazistość tej jego niemal zwierzęcej siły, której nie mógł poskromić ani doskonale skrojony garnitur, ani tym bardziej w wyrafinowany sposób zawiązany krawat. Doprawdy, żadne ze zdjęć tego potwora, na które od czasu do czasu natykała się w prasie, nie oddawało istoty i prawdziwej treści jego osobowości. A była to osobowość dzikiej bestii, powolnej jedynie własnym instynktom i prawom własnej

natury, o czym świadczył tyleż kanciasto zarysowany podbródek, co złamany jak u boksera nos. Jedynie szlachetny kształt głowy pozostawał jakby w kontraście z tym ogólnym wrażeniem dzikości i drapieżności, ale było to stanowczo zbyt mało, by zmienić sąd o Falconie.

Nie zamierzała zostać jego kolejną ofiarą!

Zgodnie z zaleceniem Charlesa, u końca wybiegu stanęła, znieruchomiła na chwilę dla wzmocnienia napięcia, po czym, unosząc ręce w najsubtelniejszym geście oddania się, odsłoniła twarz.

Zerwała się burza oklasków. Obraz młodej piękności podziałał jak narkotyk. Niektóre panie wręcz płakały. Mężczyźni wstawali z miejsc.

Jedynie Reece Falcon pozostał nieporuszony. Jego wąskich warg nie wykrzywił najłżejszy uśmiech. Tylko stalowe oczy na chwilę zabłyśły, mimowolnie zdradzając, że fala entuzjazmu uderzyła i o ten granitowy klif.

Diana nie chorowała na próżność z racji swojej urody. Traktowała ją tak mniej więcej, jak piłkarz traktuje swoje nogi - jako podstawę i niezbędny warunek popularności i zarobku. Nie miała żadnych złudzeń, że będzie ona trwać wiecznie. Najłżejsza skaza na twarzy zarysowana przez czas niechybnie spowoduje, że fotografowie i projektanci zaczną rozglądać się za kimś innym. A pięknych dziewcząt nie brakowało.

Miała sięgające pasa złociste włosy i usiane złotymi plamkami zielone oczy w obramowaniu ciemnych i długich rzęs. Prosty krótki

nosek, pełne zmysłowe wargi, mała lekko zaokrąglona broda, a wreszcie jednolicie bladokremowa karnacja kwiatu magnolii, wszystko to dawało w efekcie typ piękności rafaelicznej, będący ostatnio w cenie u fotografów i projektantów.

Jednakże sądząc z reakcji Reece'a Falcona, a raczej z braku jakiegokolwiek reakcji, mogłaby być równie dobrze nieforemną kłodą drewna.

Podium posiadało kształt litery T i teraz Diana z częściowo nieobecny, a częściowo dumny wyrazem twarzy, niczym dziewczyna przeznaczona bogom na ofiarę, jeła przechadzać się wzdłuż poprzecznego podwyższenia wybiegu. Wszystko to wykonała zgodnie z poleceniem Charlesa.

Zauważyła kątem oka, iż rudowłosa piękność po lewej ręce Falcona skłoniła ku niemu głowę i nie odrywając błękitnych oczu od prezentowanej sukni, szepnęła mu coś na ucho.

Kobieta ta nie opuściła ani jednego dnia pokazów, zaś ze sposobu, w jaki położyła swą smukłą dłoń o karminowych paznokciach na ramieniu bestii, wypływał oczywisty wniosek, że łączy ich bliższa znajomość. Rzecz zresztą nie mogła stanowić najmniejszej niespodzianki. Od czasu swego rozvodu przed dziesięcioma laty Falcon zgromadził całą kolekcję przyjaciółek, i wszystko to niemal na oczach żadnej towarzyskich plotek publiczności.

Ostatni zwrot i pozostała jeszcze tylko parada w stronę kulis. Ale w tym tanecznym baletowym zwrocie, którym wzniesła nową burzę

oklasków, zdołała obrzucić tamtą kobietę uważnym spojrzeniem. Nie była już taka młoda, jak to wyglądało na pierwszy rzut oka. Na pewno przekroczyła trzydziestkę, czyli nie różniła się dużo wiekiem od trzydziesto-dziewięcioletniego Falcona. Krucha, drobna, wyrafinowana i elegancka, należała bez wątpienia do tego samego świata, do którego bezwzględnością i ambicją zdobył sobie wstęp Falcon, a który ludzie nazywają „wielkim światem”. Lecz choć bliska mu i bardzo atrakcyjną, nie zdołała ściągnąć swym szeptem uwagi Falcona, który bez jednego drgnienia powieką wpatrywał się w nią, Boską Dianę!

Kiedy znalazła się w garderobie, posypały się gratulacje. Uściskała ją Joanna, wycalowały inne modelki. Jak we śnie pozwoliła ściągnąć z siebie ślubną kreację i przez chwilę stała naga, w samych tylko majteczkach, długonoga, smukła, a jednak o pełnych piersiach, naznaczonych różowymi sutkami. Gdy zaś Joanna wypięła diadem z włosów, na jej obnażone ramiona i plecy spłynęła złocista struga - peleryna zrobiona przez weneckich złotników.

Jej wzrok przykuł leżący na stoliku w kącie pokoju bukiet róż z dołączoną do nich wąską białą kopertą. Kwiaty przysłał Chris, który od tygodnia w tej formie ponawiał codziennie swoje oświadczenia. Dziś jednak musiał chyba wiedzieć, że jego ojciec przebywał w Paryżu, więc była pewna możliwość, iż zamiast stałego refrenu: „Wyjdź za mnie”, skreślił na bilecie coś innego. I faktycznie, gdy otworzyła kopertę, ujrzała pod dobrze jej znaną prośbą krótki dopisek: „Falcon poluje”. O jakie tu polowanie chodziło, mogła się tylko

domyślać. Prawdopodobnie ojciec dowiedział się o ich znajomości i Chris chciał ją o tym uprzedzić.

- Idziesz na przyjęcie? - zapytała Cally, stając u jej boku i bezwstydnie zerkając na bilecik.

Diana zmięła kartkę i wsłuchana w wesołe głosy koleżanek, które już przygotowywały się do świętowania końca tygodniowej harówki, pokręciła przecząco głową. Pytanie zresztą było retoryczne. Cally z góry wiedziała, jaką padnie odpowiedź.

-A więc do hotelu, sześć godzin snu, a potem pierwszym porannym samolotem do ukochanej Anglii, czy tak? - zgadywała przyjaciółka, nie zrażona powściągliwością Diany.

Ta zaś rozjaśniła twarz w tak dziewczęcym uśmiechu, że teraz dopiero dało się zauważyć, jak była młoda i ile lat jej dodawał artystyczny makijaż.

- Czy tak łatwo mnie przeniknąć? - spytała, pokazując strapioną minką, że niby czuje się tym zaniepokojona.

Cally wzruszyła ramionami.

-Nie przejmowałabym się taką drobnostką. To jedynie wzbogaca wizerunek Boskiej Diany.

Tak, ów wizerunek rozważnie kształtowała od lat. Prawdą też było, że nie przywiązywała wagi do towarzyskiej strony zawodu. Zarabiała na życie jako modelka, czyli pokazując się oczom innych, nie oznaczało to jednak, by również czas wolny od pracy miała przeznaczać dla publiczności. Dbła o swoją prywatność, tak jak skąpiec dba o swoją sakiewkę. I nie było to nawet takie trudne,

szczególnie jeśli unikało się klubów, restauracji i różnych zbiorowych imprez, które prasa wykorzystywała jako miejsca połowów sensacyjnych plotek. Ludzie rzadko kojarzyli młodą dziewczynę na zakupach w supermarkecie czy na spacerze w parku z Boską Dianą, o której rozpisywały się gazety i którą wynoszono pod niebiosa z racji jej oryginalnej urody. Oznaczało to, że Diana z wybiegu i Diana prywatnie, bez makijażu i z włosami splecionymi w warkocz, to były dwie różne dziewczyny. Różniły się nawet wiekiem i tylko ta druga miała dwadzieścia jeden lat.

Przed wyjazdem z Paryża musiała jeszcze zobaczyć się z Charlesem. W końcu zdołała wypatrzeć go w eleganckim tłumie, lecz gdy zobaczyła, z kim rozmawia, o mało nie odwróciła się i nie uciekła. Czyli po prostu, przyznała z gniewem w duchu, chciała zachować się jak ostatni tchórz.

- Och, Diana! - wykrzyknął Charles, witając ją ciepłym uśmiechem i przygarniając do siebie tyleż serdecznym, co poufałym gestem. - Właśnie rozmawialiśmy o tobie.

Porównała obu mężczyzn. Byli w podobnym wieku. Ale, o ile wysoki, szczupły i jasnowłosy Charles odznaczał się niesłychaną pobudliwością, zmiennością nastrojów i ożywieniem duchowym, co między innymi przejawiało się spontaniczną gestykulacją rąk i wyrazistą mimiką twarzy, o tyle tamten, również wysoki, a nawet trochę wyższy od Charlesa, kojarzył się raczej z blokiem ciemnego granitu, a jego twarz ze skamieniałą maską. Słowem, trudno było

wyobrazić sobie większy kontrast niż ten między Charlesem a Falconem.

- Doprawdy? - zapytała, odrywając od Falcona chłodne spojrzenie swych zielonych oczu i przenosząc je na Charlesa.

- Pragnę sprostować - odezwał się Falcon, ona zaś na dźwięk jego głosu poczuła jakiś nieznośny, prawie bolesny ucisk w żołądku. - Rozmawialiśmy nie tyle o pani, co o ślubnej sukni, którą pani prezentowała.

Zmarszczyła brwi.

- O ślubnej sukni?

- Tak - potwierdził Charles, patrząc na rozmówcę z cokolwiek zakłopotaną miną. - Choć prawdę mówiąc, trudno w tym wypadku odróżnić suknię od osoby.

-Biorę ją - powiedział Falcon, a ze sposobu, w jaki wyrzekł te słowa, wynikało niezbicie, że nie dopuszcza myśli, by suknia mogła nie znaleźć się w jego posiadaniu.

W tej absolutnej pewności siebie było nawet coś frapującego. Ten człowiek zawsze zdobywał to, czego pragnął. Lecz czy to „zawsze” oznaczało, że i tym razem?

- Cóż, to wspaniale! - wykrzyknął Charles z widoczną radością, chwytając dłoń rozmówcy i potrząsając nią wylewnie. - Nie miałem pojęcia! Czuję się zaszczycony, że stanę się projektantem pańskiej sukni. To znaczy, oczywiście, nie pańskiej w sensie dosłownym. - I roześmiał się ze swojego żartu.

Powody entuzjazmu Charlesa nie były dla Diany żadną tajemnicą. Ubrana w tę suknię panna młoda, już chociażby dlatego, że brałaby ślub w rodzinie Falconów, ślub, na którym nie zabrakłoby nawet telewizji, nie mówiąc już o dziennikarzach i fotoreporterach, rozślawiłaby imię projektanta i przysporzyła mu dochodowych zamówień.

Niemniej myśl o tym, że zanosi się w tej rodzinie na ślub, mocno zaniepokoiła Dianę.

Spojrzała na Falcona, a on wytrzymał jej spojrzenie. W jego stalowych oczach malowało się wyzwanie i... jakby coś jeszcze. Czyżby znał jej uczucia i myśli? Nie, było to absolutnie niemożliwe!

Ta dziewczyna jest jak z lodu, pomyślał Reece, tłumiąc wewnętrzne rozbawienie. W swoim życiu spotkał wiele kobiet - może nawet zbyt wiele, przyznał samokrytycznie - i kilka z nich faktycznie emanowało jakimś duchowym chłodem, który ustanawiał dystans pomiędzy nimi a otoczeniem. Żadna z nich jednak nie była tak młoda i tak zamknięta w sobie, jak ta modelka zwana Boską. Lecz mimo nieuchwytnego wnętrza, jej piękność jaśniała pełnym blaskiem. Rozumiał teraz fascynację Chrisa i jego gotowość narażenia się nawet na gniew ojca. Wynikało stąd, że ta dziewczyna mogła okazać się poważnym kłopotem, kłopotem przez duże K. Krzyżowała plany, jakie powziął odnośnie syna, a równocześnie jej uroda zbyt odbiegała od konwencjonalnych norm i wzorców piękna, aby móc przejść nad nią do porządku. Czy Charles Oxley nie objął jej ramieniem? Jasne, że był to gest po trosze przyjacielski, ale czyż samym swoim cudownym

istnieniem ta Boska nie powodowała, że mężczyźni umierali z pragnienia dotknięcia jej? Wykuta z bryły lodu, być może nie posiadała zmysłów, lecz grała na zmysłach innych z biegłością wirtuoza fortepianu.

- Chyba nie do końca pan zrozumiał, panie Oxley - odezwał się, cedząc sylaba po sylabie. - Nie idzie mi bynajmniej o projekt sukni pańskiego pomysłu, lecz dokładnie o tę suknię, która zakończyła pokazy.

Charles nerwowym gestem przejechał dłonią po włosach.

- Dokładnie o tę? Ale czy przede wszystkim nie powinna zobaczyć jej przyszła panna młoda i dopiero na tej podstawie podjąć decyzję? Nie możemy przecież wykluczyć, że marzy o całkiem innej. Zawsze służę państwu swym czasem i z przyjemnością przedyskutuję całą sprawę.

Reece wiedział, dlaczego Oxley wykręcał się jak piskorz. Był rasowym projektantem, artystą w swoim zawodzie, i nie potrafił myśleć o swoich kreacjach, ślubnych czy jakichkolwiek innych, w oderwaniu od konkretnej osoby. Lecz szanując taką postawę, Reece wiedział również, że chce tę suknię, tę, a nie żadną inną.

-Widziała ją - odparł sucho i po trosze w telegraficznym stylu. - Spodobała się jej. Właśnie tę chce założyć.

Mówiąc to patrzył na modelkę. Pozornie nic się nie zmieniło w jej twarzy, była jak namalowana na płótnie, ale gdzieś w głębi jej szmaragdowych przezręczystych oczu dojrzał jakby niepokój i napięcie. Mogło to być związane z faktem, że oplatała sobą Chrisa. Zresztą

obojętnie, jak mocne były to pęta, on, Reece, przetnie je przy najbliższej okazji.

Musiał przyznać, że Chris w swoim wyborze okazał gust, jakiego nie spodziewał się po nim. Ta młoda kobieta przeszła wszelkie jego oczekiwania. Nie tylko pod względem urody. Również z tej racji, że stanowiła intrygujące połączenie krańcowych sprzeczności. Ciepła i chłodu, jawności i tajemnicy.

Skoro on był pod wrażeniem tej dziewczyny, to Chris mógł popaść w zupełne zaślepienie.

- Czuję się zaszczycony, panie Falcon - zaczął Charles - że owa osoba, o której mówimy, pragnęłaby wziąć ślub właśnie w tej sukni...

- Owa szczególna osoba przyzwyczajona jest do otrzymywania tego, na co ma akurat ochotę - odparł Reece.

I niechby tylko nie dostała, pomyślał. Wówczas żaden mężczyzna na świecie nie potrafiłby poskromić tej przeuroczej, zwariowanej i impulsywnej osóбки.

Oxley wciąż usiłował pogodzić ogień z wodą, to znaczy zarówno zadowolić bogatego klienta, jak i wytrwać na gruncie zasad, którymi kierował się w swym fachu.

Ale jeśli moglibyśmy .

- Charles, przepraszam, że przeszkadzam, ale szuka cię Edgar Poole - usłyszeli nagle cokolwiek zadyszany głos czterdziestoletniej niezastapionej Joanny.

Reece znał Edgara Poole'a. Kilka razy wchodził z tym rzutkim i pomysłowym przedsiębiorcą w różne interesy. Wszystkie zakończyły

się Sukcesami. Dzisiejszą jego obecność tutaj należało, rzecz jasna, tłumaczyć kobiecymi zachciankami Caryn, młodej i pięknej małżonki Edgara. Była ewentualną klientką Oxleya i Reece postanowił ułatwić stropionemu projektantowi trudny wybór.

- Zadzwoń do pana w najbliższych dniach, Charles - rzekł niemal dobrodusznym tonem. - Ale uprzedzam: ani ja, ani przyszła panna młoda nie zmienimy naszego stanowiska co do sukni.

Panna młoda. Za każdym razem, gdy padały te słowa, w systemie nerwowym Diany następowało jakby krótkie spięcie. Nie miała pojęcia... Znała Chrisa już od kilku tygodni, lecz ani razu jej nie wspomniał, że jego ojciec rozważał możliwość ponownego małżeństwa. Przez dziesięć minionych lat unikał tego wręcz ostentacyjnie. I nie dlatego, żeby nie było wokół niego licznych ochotniczek do małżeńskiego łoża, lecz że taka była jego wola czy też po prostu kaprys.

W tej chwili jednak wydawało się bardzo prawdopodobne, że co nie udało się innym, udało się tej rudowłosej o dłoniach księżniczki. Ale w pamięci Diany została jeszcze druga twarz, równie ładna, a przecież dużo młodsza i wdzięczniejsza, twarz blondynki, która siedziała po prawej ręce Falcona. Jaka szkoda, że nie przyjrzała się jej uważniej! Charles, który zwykł dobierać kreacje do indywidualnej urody, z tych dwóch kobiet wybrałby dla swej sukni z pewnością tę drugą.

Zostali sami, gdyż projektant udał się w inne miejsce pod zbrojną eskortą Joanny. W pewnej chwili Diana złapała się na tym, że

wpatruje się w złamany nos Falcona. Spuściła oczy i pomyślała, jak by tu uciec i od nowa przemyśleć swoje plany.

- Jeśli pozwoli pan, to... - zaczęła z grzecznym uśmiechem.

-Nie - odparł głosem równie spokojnym, jak w przypadku, gdy się mówi „tak”.

Zbita z tropu, zatrzepotała długimi rzęsami.

-Bardzo pana przepraszam. Nie chciałam bynajmniej...

- Doprawdy? - zapytał, mrużąc stalowe oczy. Na jej czole pojawiła się pionowa zmarszczka.

- Myślałam, że...

-Wiem, co pani myślała, Boska. - Wymówił ten pseudonim, w istocie dość pretensjonalny, krzywiąc usta. - Z kolei ja myślę, że dobrze się pani bawi.

Wytrzymała jego spojrzenie.

- Panie Falcon, gdybym nie czerpała zadowolenia ze swej pracy, dawno bym ją porzuciła.

-Słyszałem, że honoraria tych najbardziej rozrywanych modelek, a do tej kategorii panią zaliczam, są godne pozazdroszczenia.

Rzuciła mu urągliwe spojrzenie.

- Są rzeczy ważniejsze od pieniędzy, panie Falcon. Nie spodziewała się tego. Nie spodziewała się, że wybuchnie głośnym niepowstrzymanym śmiechem, ściągając na siebie spojrzenia licznie zgromadzonych tu osób.

Jak mógł naśmiewać się z niej! To, że sam stawiał ponad wszystko pieniądze i władzę, nie oznaczało jeszcze, że wszyscy byli równie cyniczni.

Lecz rzecz dziwna, śmiech, który właśnie zamierał mu na wargach, wy pogodził jego twarz i uczynił ją znacznie młodszą.

- Gdzie, na Boga, Chris panią wynalazł, Boska?

- Diana - rzuciła głosem pełnym irytacji. - Mam na imię Diana.

- Jasne. Jacyż to bowiem rodzice skrzywdziliby swoje dziecko takim głupim imieniem. Ale co dla innych jest durne i w złym smaku, dla Chrisa jest przepiękne.

Tak, Chris uważał jej zawodowy pseudonim za bardzo romantyczny. Czerpał również zadowolenie z faktu, że pokazuje się z kimś tak sławnym jak Boska Diana. Pokazali się zatem w publicznych miejscach pięć czy sześć razy. To wystarczyło, aby dopadła ich prasa. W towarzyskich kolumnach zaszumiało od plotek. Było pewne, że prędzej czy później dotrą one do uszu Reece'a Falcona. Diana zresztą liczyła na to!

- Chris jest wyjątkowy - powiedziała.

- Tak, niezwykle i wyjątkowy. Różni się tym przede wszystkim od innych ludzi, że jest moim synem.

- Wszyscy ponosimy w życiu jakieś straty, panie Falcon. Rzecz w tym, by znieść je z godnością.

Był to atak i to atak ze strony kobiety. Oslupienie, jakie odmalowało się na twarzy Falcona, niedwuznacznie świadczyło, że

odebrał to jako zupełną nowość. Lecz nowe bywa często intrygujące. Toteż wpił się zaraz w jej twarz zaciekawionym spojrzeniem.

- W zasadzie pogląd ten uważam za słuszny, niemniej chyba uświadamia sobie pani, że musimy porozmawiać...

-Jestem innego zdania. - Powiedziawszy to, odwróciła się, by odejść. On jednak chwycił ją za nadgarstek. - Proszę puścić moją rękę.

Przypatrzył się jej oczom. Były ciemniejsze niż przed chwilą, a równocześnie bardziej rozjarzone.

- Uwolnię panią dopiero wówczas, gdy uzyskam zgodę na rozmowę.

Oddychała szybko, prawie spazmatycznie. Mimo gorąca panującego w pokoju, czuła zimne dreszcze. Ale nie wolno jej było okazać najmniejszej słabości.

-Jeśli nie zrobi pan tego, o co proszę, zacznę krzyczeć. A jeśli ludzie posłyszają mój krzyk, to... Dziękuję. - Roztarła uwolnioną dłoń. - Widzę, że poważnie potraktował pan moje ostrzeżenie, i słusznie zresztą. Prawda jest taka, panie Falcon, że czuję się zmęczona i zamierzam wrócić do hotelu, gdzie czeka mnie kąpiel i wygodne łóżko.

- Jakiego hotelu? - zapytał chrapliwym, rozdrażnionym głosem. Wymieniła nazwę.

Nie miała powodu, aby ukrywać miejsce swojego pobytu. Nie czuła się zagrożona. Poza tym w hotelu czy gdziekolwiek indziej ten człowiek nie mógł dziś liczyć na rozmowę z nią. Po pracowitym

szalonym tygodniu zmęczenie naprawdę dawało się jej we znaki, a nerwy miała napięte do ostatnich granic.

- Diana, zapomniałaś wziąć to ze sobą!

Dostrzegła najpierw bukiet czerwonych róż, a potem dopiero Cally, która go przyniosła i natychmiast rozplynęła się w tłumie.

-To od mojego syna, prawda? - zapytał Falcon, wpatrując się w kwiaty.

Odruchowo przycisnęła bukiet do piersi. -Tak.

Pokiwał głową, jak gdyby nigdy w to nie wątpił.

- Więc zadzwonię jutro rano i zjemy razem śniadanie. Chyba że - wykrzywił usta w lekceważącym uśmiechu - należy pani do tych modelek, które odżywiają się tylko sałata i czarna kawa.

Zamilkł i czekał na odpowiedź.

Niektóre z jej koleżanek faktycznie miały problemy z nadwagą i sięgały wówczas po sałate, ale ona uważała to za lekką przesadę. To zaś, że Falcon orientował się w kulisach życia modelek, nie zdziwiło jej. Z pewnością w przeszłości, idąc tropami kobiecego piękna, musiał mieć i z nimi do czynienia.

- Do kilku rzeczy, które lubię w Paryżu, zaliczają się również rogaliki i kawa ze śmietanką.

Kiwnięciem głowy przyjął to do wiadomości.

- W takim razie zjawię się jutro o wpół do dziewiątej. Czy nie za wcześnie?

- W sam raz.

W sam raz na to, żeby jej nie zastał. O tej porze bowiem będzie już na lotnisku, w drodze powrotnej do Anglii.

- Do zobaczenia.

Odszedł z miną, jak gdyby termin ich jutrzejszego spotkania zabezpieczony był teraz w podziemiach szwajcarskiego banku.

Arogant! Egoista! Pyszałek!

Nie dziwota, że Chris nie mógł z nim wytrzymać.

Teraz, kiedy zetknęła się bezpośrednio z tym człowiekiem, który zrujnował jej ojca i pchnął go ku samobójczej śmierci, czuła do niego jeszcze większą odrazę niż poprzednio.

ROZDZIAŁ DRUGI

Pisano o niej „Boska”.

Była międzynarodową modelką. Ciągłe w podróżach. Zasypywana propozycjami kontraktów. Jej oryginalna uroda stawiała ją na szczycie. Latała pierwszą klasą, a zatrzymywała się tylko w luksusowych apartamentach, gdzie szampan i róże, jej ulubione kwiaty, były takim samym standardem, jak gdzie indziej umywalka i kran.

Apartament w paryskim hotelu nie stanowił pod tym względem wyjątku. Wszystko tu lśniło od marmurów, mosiądźów i lustek, zaś ogromne łóżko z baldachimem obiecywało jakieś nadzwyczajne sny. Leżała teraz na miękkim materacu i czuła, jak wyparowuje z niej zmęczenie. Tylko nerwy miała wciąż napięte.

Myślała o Falconie.

Od tygodni przygotowywała się na rozmowę z nim. Tyle że w jej planach to ona miała być stroną aktywną.

Ich wieczorne spotkanie wstrząsnęło nią przede wszystkim z tego powodu, że znów po z górą dziesięciu latach usłyszała jego głos. Ten głos przez lata towarzyszył jej wszędzie, rozpoznałaby go w każdej sytuacji, znała go na pamięć, tak jak muzyk zna na pamięć podstawowe dźwięki. Bo naprawdę nazywała się Divinia Lambeth i była córką Howarda Lambetha, człowieka, którego Reece Falcon z rozkoszą i premedytacją doprowadził do śmierci.

Wyrzucała sobie, że podczas rozmowy z Falkonem zabrakło jej wewnętrznej dyscypliny. Czuła, że nie sprostała wyzwaniu, zamieniając się w kłębek nerwów na widok tego człowieka. Nienawidziła go z taką intensywnością, iż graniczyło to prawie z opętaniem.

Reece Falcon nie tylko spowodował śmierć jej ojca, który zamiast skandalu i poniżenia wybrał samobójstwo, lecz również był odpowiedzialny za zniszczenie wszystkiego, co po nim pozostało.

Musieli wyprzedzić się, aby spłacić wierzycieli, a pewnego dnia przyszło też wyprowadzić się z rodzinnego domu. Tak oto dla dziewięcioletniej dziewczynki skończyło się dzieciństwo i zaczął się bolesny okres dorosłości. Jedyłą w tym pociechę stanowił fakt, że Janette, jej macocha, porzuciła z braku finansowych środków ekstrawagancki tryb życia. Ta kobieta zresztą nie zasługiwała na lepszy los. Zdradziła ojca i musiała ponieść jakąś karę. Divinia czuła do niej pogardę równą natężeniem nienawiści do Falcona.

Tak więc Divinia pozostała pod wyłączną opieką swojej macochy, co stanowiło dodatkowe nieszczęście w serii nieszczęść. Ale Janette owdowiała w wieku dwudziestu pięciu lat i nie miała zamiaru krępować sobie rąk pasierbicą. Wytrzasnęła skądś jakieś pieniądze i odesłała ją do tej samej prywatnej szkoły, do której Divinia chodziła od pierwszej klasy.

I wtedy zaczął się jeszcze jeden koszmar. Najbliższe przyjaciółki pozostały lojalne i serdeczne, ale cała reszta unikała jej jako córki bankruta, jak gdyby bankructwo ojca dotknęło je osobiście. I tak

dotarła do matury, jako ta gorsza, oddzielona grubą szybą od innych dziewcząt, skazana nawet, zdarzało się, na spędzanie w internacie wakacji. Kiedy więc wreszcie rozstała się ze szkołą i zmieniła nazwisko na Diana Lamb, odczuła to jako swoje drugie narodziny.

Janette wytrzymała we wdowieństwie jedynie pół roku. Wyszła ponownie za mąż za jakiegoś włoskiego biznesmena, który machnął ręką na rodzinny skandal, gdyż szukał po prostu ładnej żony. Uroda Janette, jasnopopielate włosy plus niebieskie oczy, w pełni go zadowolili. Ofiarował żonie całkowitą swobodę, co zresztą bardzo jej odpowiadało. Tak naprawdę kochała tylko samą siebie, a pieniądze otrzymywane od męża bardzo uprzyjemniały ten szczególny związek.

Cokolwiek było pomiędzy Janette a Falconem, skończyło się wraz ze śmiercią Howarda Lambetha. Niemniej tajemnica tego romansu, którego charakteru domyślała się jedynie ze słów podsłuchanych w gabinecie ojca, dręczyła Dianę i nie dawała jej chwili spokoju.

Gdy Janette zakorzeniła się solidnie w swoim nowym małżeństwie, zmieniła nieco swój stosunek do Diany. Od czasu do czasu odwiedzała ją w Anglii i zapraszała na wakacje do, Włoch. Diana ciągle gardziła swoją macochą, lecz tygodnie spędzane pod południowym niebem zapadały w jej duszę, zaś Marco - mąż Janette - okazał, się bardzo miłym człowiekiem. Zgodnie ze swoją naturą Włocha, przepadał za dziećmi.

Gdy jednak pewnego roku zobaczył, że zamiast dziecka stoi przed nim śliczna, wręcz olśniewająca urodą dziewczyna...

Diana w panicznym odruchu oderwała myśli od tego bolesnego wydarzenia i ponownie skoncentrowała się na Falconie. To on był winien wszystkiemu. Gdyby nie wtrącił jej ojca w ostateczną rozpacz, żadna z tych okropnych rzeczy nie wydarzyłaby się.

I dlatego pragnęła, aby ten zły człowiek doświadczył takiego samego cierpienia, jakie stało się jej udziałem.

Musiła tego dokonać!

- Już dobrze, Puddle - zwróciła się do swego kota, który wspinał się niecierpliwie na jej obciążone barwnymi legginsami nogi w daremnym zamiarze dosięgnięcia miseczki. - Lunch jest gotowy.

Rzucił się na posiłek z taką łapczywością, jakby głodował co najmniej od miesiąca.

Nie była to prawda. Przebywała poza domem jedynie przez tydzień, zaś Roger, jej sąsiad, który mieszkał po drugiej stronie korytarza i podczas jej licznych pobytów za granicą opiekował się kotem, zawsze utrzymywał, że Puddle je za dziesięciu swoich pobratymców. A jednak Puddle, kot o czarnym i lśniącym futerku, zawsze tak samo reagował na jej wyjazdy. Na kilka dni przed rozstaniem fundował sobie ścisły post, potem w czasie rozłąki obżerał się jak szalony, by po jej powrocie udawać opuszczoną i zaniedbaną sierotkę.

Najbardziej w tym, wszystkim zastanawiał fakt, że Puddle wiedział, powiedzmy, we wtorek, że Diana wyjedzie w piątek wieczorem, mimo że pakowanie odkładała zawsze na ostatnią chwilę. Po dwóch latach współżycia, zetknąwszy się wielokrotnie z tą formą

protestu, Diana zdecydowała, że tę genialną intuicję należało tłumaczyć celtyckim pochodzeniem czworonożnego przyjaciela, który jak wszystkie arystokratyczne koty z wyspy Man nie miał ogona. Był jedynym współlokatorem Diany w jej obszernym mieszkaniu o dwóch sypialniach. Jedną z nich przerobiła na atelier malarskie, by móc od czasu do czasu oddawać się swojemu hobby.

Zostawiając kota nad wyjedzoną do połowy miseczką, przeszła z kubkiem kawy z kuchni do salonu, gdzie z westchnieniem ulgi zagłębiła się w obitym białą skórą fotelu. Zresztą wszystkie meble były tu białe, podobnie jak ściany i dywan. Tym jaskrawszą więc plamę stanowiła teraz ona sama, kontrastując z otoczeniem złocistymi włosami, jasnożółtą koszulką oraz różowymi legginsami.

Wróciła z Paryża dzisiaj przed południem i miała stosunkowo przyjemną podróż. Wielu pasażerów rozpoznało ją, co stanowiło jedną z przyjemniejszych stron zawodu modelki, choć bez wątpienia wiązało się również z kosztami życia na widoku, w świetle jupiterów. Diana lubiła swoją profesję, sęk w tym, że lubiła też prywatność i intymność zwykłej egzystencji.

Powiedziała wczoraj Cally, a potem Falconowi, że wraca do hotelu, aby się wyspać i pozwolić ciału wypocząć, tymczasem nie zmrużyła oka do rana. Zwolniła też wcześniej hotelowy apartament, niż było to konieczne. A kiedy znalazła się na lotnisku, przeczesywała wzrokiem tłum w obawie, że za chwilę zobaczy ścigającego ją Falcona.

Rzecz jasna, Falcon nie pojawił się, lecz jej nerwy były w tak fatalnym stanie, że kiedy w samolocie zmienacka podeszła do niej stewardesa i zaproponowała drinka, Diana podskoczyła jak ukłuta szpilką.

A teraz na dźwięk dzwonka u drzwi zareagowała niemal identycznie.

Prędko jednak uspokoiła się. Wiedziała, kto czeka za drzwiami. Chris chciał koniecznie polecieć razem z nią do Paryża, lecz w końcu uległ ojcu, który w tym samym czasie planował wysłać go w interesach do Stanów Zjednoczonych, nie bez ukrytych, jak się okazało, powodów. Oczywiście, Chris machnąłby ręką na wszelkie interesy i spędził ten tydzień z Dianą w Paryżu, gdyby to ona sama nie wybiła mu tego z głowy. W rezultacie Chris udał się na inną półkulę, skąd przypominał o swoim istnieniu i matrymonialnych planach bukietami róż. Dzisiaj miał wrócić i osobiście poprosić ją o rękę.

Lubiła go, i to niejako wbrew sobie. Był jedynym dzieckiem Falcona, a tym samym jej potencjalnym wrogiem. Chris jednak w niczym nie przypominał ojca. Pogodny z natury, odziedziczył charakter po matce Amerykance. Jego wysoki wzrost, atletyczna budowa ciała i jasne włosy upodobały go do tych przesympatycznych amerykańskich chłopców, którym tylko baseball i koszykówka w głowie. Ale żoną jego zostać nie chciała i nie mogła!

Poczuła na łydce futerko Puddle, wzięła więc kota z podłogi i usadowiła go na swoim miejscu.

- Grzej je - powiedziała, po czym poszła otworzyć drzwi.

Uśmiech powitania zgasł na jej wargach. Na progu zamiast Chrisa stał jego ojciec - Reece Falcon!

- Śniadanie - oznajmił, przypatrując się z wyrazem ironicznego zadowolenia jej osłupiałej minie i unosząc wymownym gestem torbę z zakupami. - Umówiliśmy się zjeść wspólnie śniadanie.

Następnie, nie czekając na zaproszenie, wszedł zdecydowanym krokiem do przedpokoju, a potem do kuchni, gdzie zaczął rozpakowywać wiktuały.

Najwyraźniej nie doceniła go. Obawiała się, że dopadnie ją na paryskim lotnisku, ale do głowy jej nie przyszło, iż będzie ścigał ją aż do Londynu. A przecież powinna była uwzględnić i taką ewentualność. Któż lepiej od niej orientował się w zaciekłości i konsekwencji w działaniu tego człowieka?

Zresztą miała przed sobą niezbity dowód tej konsekwencji. Bo oto na stole pojawiły się rogaliki, serki i owoce — tradycyjne francuskie śniadanie! Niewykluczone, że przywiózł je wprost z Paryża. Ostatecznie dla kogoś, kto dysponował własnym odrzutowcem, to nie był żaden problem kupić śniadanie w Paryżu i zjeść je w Londynie.

-Ach, kawa - powiedział na widok gorącego jeszcze dzbanka, po czym napełnił dwie filiżanki. Uniósł swoją do ust. - Dobra. Lubię mocną.

Diana czuła się jak ktoś, kto dopiero co opuścił łazienkę i zaraz za drzwiami pochlapany został jakimś paskudztwem. To mieszkanie

stanowiło dotąd jej azyl, bezpieczną wysepkę w morzu zagrożeń, na którą teraz ten człowiek wdarł się z brutalnością intruza i najeźdźcy.

Wziął tacę ze śniadaniem i po raz kolejny nie pytając o zgodę, przeszedł do salonu. Musiała mu w duchu przyznać, że w rozkładzie jej mieszkania orientuje się wyśmienicie.

Spojrzał na zwiniętego w kłębek kota.

- To Puddle, mój przyjaciel - wyjaśniła.

Dziwnym zbiegiem okoliczności przyjaciel i wróg byli dziś tego samego koloru. Falcon miał bowiem na sobie czarną koszulę z krótkimi rękawami i czarne, elegancko skrojone spodnie, które uwydatniały jego długie szczupłe nogi.

Wiedząc, że musi wziąć się w garść, Diana uchwyciła się tematu, który właściwie sam się narzucał. Zaczęła mówić o Puddle i przedstawiać go bliżej Falconowi.

Tak się złożyło, że ten lubił koty. Doceniał ich inteligencję i aprobował niezależność. Nigdy jednak dotąd nie słyszał, by jakakolwiek kobieta, mówiąc o kotach, kładła nacisk na takie cechy ich charakteru, jak wewnętrzna rezerwa i powściągliwość. Ta zaś to właśnie czyniła!

Dzisiaj wiedział o niej trochę więcej niż wczoraj. Gdy tylko zorientował się, że Diana nie dotrzymała umowy i wyleciała najwcześniejszym samolotem do Londynu, zadzwonił natychmiast do swego sekretarza Paula i polecił mu zebrać o niej wszelkie dostępne informacje. Paul nie był opłacany dla swych pięknych oczu, tylko dla wydajności, wiedzy i inteligencji, kiedy więc Reece wylądował w

Londynie, czekały już tam na niego dwie skompletowane teczki. Jedna zawierała materiały dotyczące Boskiej, druga zaś Diany Lamb, przy czym Reece zdumiał się ich wzajemną proporcją. O ile bowiem ta pierwsza pękała wprost w szwach od wycinków artykułów prasowych i setek fotografii, to zawartość tej drugiej była bardzo skromna. Obie jednak z tej czy innej przyczyny okazały się interesujące.

Przede wszystkim zdjęcia ukazywały dziewczynę z rasy tych wyjątkowych i rzadkich. Boska w kąpielowym kostiumie szczyła się nie tylko swymi idealnymi udami czy tyłeczkiem, lecz przede wszystkim erotycznym blaskiem, który emanował z jej ciała.

Co zaś się tyczy Diany Lamb, czyli prywatnej strony życia modelki, to tutaj zebrane materiały pozostawiały wiele do życzenia. Żadnych informacji o dzieciństwie, rodzinie, okresie dorastania, a tylko suche wzmianki, z których wynikało, iż dziewczyna unikała dotąd z powodzeniem skandali i romansów, wiodąc egzystencję bardziej urzędniczki na poczcie czy nauczycielki niż rozrywanej przez najlepszych projektantów międzynarodowej modelki. Nie zadawała się ani z łowcami serc, ani z bogaczami, zadowolając się w pełni wąskim gronem przyjaciół. Reece zauważył, że ostatnio do tego ekskluzywnego klubu przyjęty został jego syn. I rzecz dziwna, fakt ten z jakichś niejasnych powodów zirytował go.

Wniosek z tego wszystkiego mógł być tylko jeden: Diana Lamb była najbardziej tajemniczą, najbardziej nieuchwytną kobietą pod słońcem.

- Puddle przepada za pieczywem - powiedziała na koniec, jak gdyby ostrzegając go, że do francuskich rogalików mogą zasiać we trójkę.

Reece spojrział na preżącego grzbiet kota. Ich oczy spotkały się, po czym człowiek i zwierzę zaczęli mocować się wzrokiem. W pewnym momencie Puddle musiał uznać wyższość mężczyzny. Odwrócił spojrzenie swych żółtozielonych oczu, ziewnął i zwinął się w kłębek, dając tym samym do zrozumienia, że pyszności leżące na tacy tak blisko jego pyszczka nic a nic go nie obchodzą. Natychmiast też zapadł w drzemkę.

Falcon przeniósł wzrok na jego panią. W luźnej koszulce i leginsach przypominała smukły wiosenny kwiat.

- Jedzmy - powiedział prawie rozkazującym tonem, zdumiony i zaskoczony swymi wewnętrznymi reakcjami na urodę tej dziewczyny, u której zjawił się przecież tylko dlatego, by podjąć próbę usunięcia Chrisa z jej życia,

- Nie jestem kotem - odparła z chłodnym wyrazem twarzy.

Jej słowa wskazywały tyleż na niestosowność jego tonu, co oznaczały, że nie ma zamiaru naśladować Puddle w uległości i posłuszeństwie.

- Jest pani o wiele za chuda.

Wiedział, że jeśli chce uzyskać nad nią przewagę, musi ją najpierw rozdrażnić, zirytować, wyprowadzić z równowagi. Ona jednak jedynie uśmiechnęła się i założyła nogę na nogę.

Siedziała przed nim w pełnym rozkwicie swojej młodości, on zaś z obsesyjnym uporem wygrzebywał z pamięci dane zapamiętane z lektury teczek. Mierząc nieomal sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, ważyła tylko pięćdziesiąt osiem kilo.

Na miłość boską, przyszedł tu wybić jej z głowy Chrisa, nie zaś przejmować się tym, że reżim związany z uprawianą profesją fatalnie odbije się na jej zdrowiu!

Diana domyślała się jedyne go rzeczywistego powodu jego wizyty. Wiedziała, iż ten człowiek zrobi wszystko, by nie dopuścić do jej małżeństwa z Chrisem. Czekala więc cierpliwie, kiedy wreszcie przejdzie do rzeczy. Gdy zaś to się stało, zdumiała ją tylko cyniczna brutalność jego propozycji.

- Ile chce pani za zerwanie z moim synem?

Był na swoim terytorium, terytorium pieniędzy i władzy. Oznaczało to, że nie ma o niczym zielonego pojęcia.

Żadne z nich nie interesowało się zaimprovizowanym francuskim śniadaniem. Widząc to Puddle, który tylko udawał śpiącego, a faktycznie śledził spod przymrużonych powiek rozwój wydarzeń, przeskoczył cicho z fotela na stolik i z niewinną miną jął chrupać ciasteczka.

Spojrzenie szarych, oczu przemknęło po nieposłusznym kocie, by zaraz z powrotem uwiesić się czoła, nosa oraz ust Diany.

- Proszę wymienić sumę.

Diana spojrzała nań z pogardliwą litością.

- Już mówiłam panu, że pieniądze mnie nie interesują. Być może moje słowa nie przekonują pana, gdyż mieszkam bardzo skromnie i w ogóle w moim życiu brakuje ostentacji, ale jestem zabezpieczona finansowo i nie potrzebuję pana pieniędzy.

Mówiła prawdę. Wspięła się na szczyt i mogła zażądać teraz za jeden dzień pracy tysiące funtów. Mogła też równie dobrze wycofać się i żyć beztrosko do końca swoich dni, czerpiąc z zaoszczędzonej sumy. Rzadko kto w wieku dwudziestu jeden lat dochodzi własną pracą do takiego majątku.

- Nigdy nie jest tak, abyśmy mieli dość pieniędzy. Falcon zawarł w tych słowach całą swoją filozofię.

A była to filozofia człowieka, który poza pomnażaniem bogactwa nie widzi innego celu w życiu.

Powtarzam: swoje pieniądze proszę zachować dla siebie, panie Falcon. Ja ich nie potrzebuję.

Nie dotknęłyby jego pieniądze. Były splamione krwią i cierpieniem innych ludzi. Zgromadziły je egoizm, okrucieństwo i bezwzględność.

Zacisnął usta i unióśł brwi.

- Więc czego pani chce, Diano? Chrisa? Dwudziestoletniego chłopca, który jeszcze w pełni nie dojrzał emocjonalnie? - Potrząsnął głową. - Przecież on nawet nie będzie w stanie zaspokoić pani potrzeb.

Wiedziała, że jego wulgarność wypływa z premedytacji, a jednak mimowolnie zbladła i wykrzywiła usta. -Potrzeb?... Nie sędzę...

- A ja sędzę - wpadł jej w słowo, przysuwając się - że dokładnie wie pani, co miałem na myśli, mówiąc o „potrzebach”.

I nagle objął ją i pocałował. W pierwszej chwili myślała, że śni. Później poczuła, iż za chwilę zemdleje. Siły opuściły ją. Ręce opadły wzdłuż tułowia. Zdrętwiałe usta pozwalały się całować, tak jak pozwalają się całować usta gumowej lalki. Tylko w jej zielonych oczach tliło się jakieś życie. Lecz blask, jaki się stamtąd wydobywał, mógł przerazić każdego, tyle w nim było pogardy i obrzydzenia. Toteż kiedy Reece Falcon zorientował się, że całuje lalkę, i oderwawszy usta spojrzał jej w oczy, zbladł najpierw, by zaraz oblać się purpurą. Och, gdybyż spłonął w ogniu tego upokorzenia!

Natychmiast poderwał się na nogi i przesunął dłonią po włosach. Kiedy odwrócił się, twarz miał już prawie opanowaną.

Diana też wstała. Drżały jej nogi. Czowała się osłabiona jak po długiej chorobie.

- To pan nie ma najmniejszego pojęcia, jak zaspokoić potrzeby takiej kobiety, jak ja! - powiedziała cichym głosem, który jednak posiadał siłę krzyku.

Szczęki Falcona pulsowały.

- Czy mam przez to rozumieć, że Chris opanował tę sztukę? - zapytał lodowato.

- Może pan przez to rozumieć cokolwiek, jak to chociażby, że będę musiała po pana wyjściu kazać wysprzątać ten salon, gdyż został zabrudzony.

- Potrafię panią złamać!

Uśmiechnęła się blado. Łamać ludzi, czy ten człowiek tylko to potrafił?

- Nie sędzę, panie Falcon. Pana syn poprosił mnie o rękę. Właśnie rozważam jego oświadczenia. Zbladł i wychylił się nieco naprzód, jak gdyby chciał ją uderzyć. Dostrzegła jego zaciśnięte pięści.

- „Rozwaga” to dobre słowo. Właśnie rozwagi pani potrzebuje. Bo uprzedzam, żoną Chrisa nigdy pani nie zostanie.

Jakże pragnęła w tej chwili podjąć to wyzwanie, podnieść rzuconą jej rękawicę. Wiedziała jednak, że ta decyzja weszłaby w konflikt z jej planami, tych zaś musiała się trzymać za wszelką cenę.

- Wnioskuje, iż uważa pan za rzecz naturalną i pewną, że chcę zostać żoną Chrisa? - zapytała, dumnie podnosząc głowę.

Wzruszył ramionami. - Jest bogaty, przystojny...

- I przede wszystkim jest pańskim synem?

- Tak, i jako mój syn ożeni się z tą dziewczyną, którą ja zaaprobuję - oświadczył z wielką pewnością siebie.

- Więc proszę mi wierzyć, jeśli postanowię wyjść za Chrisa, to zostanę jego żoną. Pańska zgoda jest tu zbędna, a pański sprzeciw nic nie waży.

Spiorunował ją wzrokiem.

- W dniu waszego ślubu wydziedziczę go. Nie lękała się piorunów.

- Na szczęście zarabiam dość dla nas obojga. Zwęził oczy do szparek. Podejrzliwość mieszała się w nich z niewiarą.

-I nie będzie pani krępować sytuacja, że pracuje, by zarobić na swojego męża?

Diana wzruszyła ramionami. Ten człowiek najzwyczajniej nie wiedział, czym może być miłość. Przecież gdyby ona zakochała się w mężczyźnie bez pieniędzy i poślubiła go, byłoby sprawą drugorzędną, że jako małżeństwo żyją z jej pracy.

- W najmniejszym stopniu - odparła. - Wystarczyłoby, że kochałabym swojego męża.

- A czy Chrisa kocha pani wystarczająco mocno, by troszczyć się o niego? Ponieważ jest rzeczą więcej niż pewną, że takiej troski w przypadku poślubienia pani będzie potrzebował.

Pozwoliła sobie na uśmiech; mogła sobie na to pozwolić, gdyż czuła, że w odróżnieniu od wzburzonego Falcona całkowicie panuje nad sobą.

-Panie Falcon, rozmawiając o moim przyszłym mężu, ktokolwiek nim będzie, poruszaliśmy się dotąd w sferze teoretycznej. Jeśli zaś chodzi o tę konkretną sytuację, to powtórzę, co już powiedziałam. Rozważam właśnie małżeńską propozycję Chrisa. I gdybym zdecydowała się ją przyjąć, pan zaś spełniłby swoje groźby...

- Spełnię je na pewno.

- To wówczas, jak sędzę, okazałoby się, że Chris jest pana nieodrodnym synem i potrafi znaleźć sobie zajęcie, kto wie, może nawet całkiem dochodowe.

Chris mógł być sobie dzieckiem bogatych rodziców, lecz wiedziała, że posiada wolę samodzielności. Ojciec zresztą nie rozpieszczał go i zatrudnił w interesie na podrzędnym stanowisku. By awansować, miał się wpierw wykazać. I Chris radził sobie całkiem nieźle, gdyż odczuwał to samo pragnienie zrobienia kariery, co ojciec.

- Potrafię sprawić - powiedział Falcon z jakąś zaciekleścią - że nie znajdzie żadnej pracy, pani zaś straci swoją.

Nie wątpiła, że nie były to słowa bez pokrycia.

- Wtedy będzie można się nad panem jedynie litować. Ponieważ Chris nigdy panu tego nie wybaczy.

Zaklął, przyznając się tym samym do swojej bezsilnej wściekłości.

-A teraz, pozwoli pan, chciałabym się pożegnać. Chris będzie tu lada chwila i nie przyjmę go przecież w tym stroju.

Reece Falcon wyglądał w tej chwili na człowieka, który waha się między najwyższą rozkoszą uduszenia kogoś gołymi rękami a obawą przed szafotem. Obawa przeważała, więc odwrócił się i trzasnąwszy drzwiami, opuścił mieszkanie.

Gdy tylko zasunęła blokadę, siły ponownie ją opuściły. Zaczęła dygotać na całym ciele jak w febrze. Była to reakcja na straszliwe napięcie minionej godziny. Takich spotkań, wiedziała to, miało być więcej w przyszłości. Czy im sprosta? Czy da sobie radę z własnymi

nerwami? Pytania tłoczyły się jedno za drugim. Każde wskazywało na jakieś niebezpieczeństwo, lecz każde też przypominało o obowiązku, jaki na niej spoczywał. Musiała mu podołać!

Tymczasem gniew Falcona nie chciał szybko minąć. I dopiero znalazłszy się w swoim mieszkaniu na dziesiątym piętrze wieżowca, który był jego własnością, Reece uświadomił sobie, na kogo właściwie się gniewa. Gniewał się na samego siebie, a powodem tego gniewu była najzwyklejsza zazdrość. Dobry Boże, zazdrościł własnemu synowi jego dziewczyny!

ROZDZIAŁ TRZECI

Diana nie doszła jeszcze całkiem do siebie, gdy dzwonek u drzwi ponownie odezwał się w jej mieszkaniu. Mógł to być Reece Falcon z nowymi groźbami, ale też mógł to być...

- Chris - powiedziała z westchnieniem ulgi, wpuszczając młodego mężczyznę do środka.

Od odejścia Falcona minęło dopiero kilka minut i nie miała pewności, czy czasami syn i ojciec nie spotkali się na dole przy windzie. Woląла, żeby na razie nic takiego nie miało miejsca.

- Mogłabyś, sądzę, bardziej się ucieszyć na mój widok - powiedział Chris z uśmiechem.

Stanowił zupełne przeciwieństwo ojca. Miał ufne niebieskie oczy, jasne, jakby spłowiałe od słońca włosy i szczerą, otwartą twarz. Diana zaczynała lubić tego chłopca, więc tym większą przykrość sprawiała jej myśl, że to ona właśnie będzie tą osobą, która pierwsza naznaczy jego przystojną i miłą twarz bolesnym grymasem rozczarowania.

Nie mogła jednak pozwolić sobie na luksus moralnej rozterki. Chris był synem Falcona, jej śmiertelnego wroga, więc też siłą rzeczy stał po przeciwnej stronie barykady. Falcon zniszczył jej ojca, jej rodzinę, zniszczył wiarę dziewięcioletniej dziewczynki w nadrzędny porządek tego świata, a uczynił to wszystko bądź co bądź z myślą o swoim jedynym synu, który miał po nim dziedziczyć. Wynikało stąd, że kto korzysta z owoców winy, ten sam poniekąd jest winny. A

zresztą w beztróskim życiu Chrisa musi wreszcie pojawić się ktoś, kto powie mu „nie” i tym samym pasuje go na dorosłego. Tylko że to „nie” nie mogło paść zbyt wcześnie. Jeszcze nie teraz...

Oddała mu uśmiech i pozwoliła się pocałować. Powitali się jak dobrzy przyjaciele.

- Oczywiście, że cieszę się z twojej wizyty.

- A nie mogłabyś wyrazić tego z większym żarem?

Najwidoczniej nie wystarczało mu to, co otrzymał. Roześmiała się. Z Chrisem czuła się bezpiecznie, podczas gdy rozmowa z jego ojcem była jak spacer po polu minowym.

- Wszystko ma swoją porę. O wpół do dwunastej służę jedynie pocałunkiem.

Próbował ją objąć, lecz wymknęła się. Przeszli do salonu.

- Widzisz - powiedziała, wskazując na rogaliki, ciasteczka i owoce - oczekiwałam cię i pomyślałam nawet o śniadaniu.

Twarz Chrisa zajaśniała radością. Rzucił się na jedzenie.

- Ależ to musiało zostać przywiezione wprost z Paryża! Tylko tam zdarzało mi się jadać tego rodzaju frykasy. - Przerwał na chwilę, by nie udławić się zbyt dużym kęsem. - A jak ty się bawiłaś w Paryżu, moja Boska?

Zrobiła grymaśną minkę, po czym usiadła na dywanie i po turecku skrzyżowała nogi.

- Dokładnie tak samo, jak ty się bawiłeś w Nowym Jorku.

- A zatem praca, praca i ociupinka rozrywki. Chociaż - dodał już zupełnie innym tonem - udało mi się spotkać z matką i zjeść z nią kolację.

Cathy Reiter zaraz po rozwodzie z Falconem i uzyskaniu przezeń opieki nad dzieckiem wróciła do Ameryki, gdzie po niedługim czasie ponownie wyszła za mąż. Przez pierwsze pięć lat rozłąki z matką Chris prawie się z nią nie widywał, aż dopiero jako czternastoletni chłopak wziął się na odwagę i powiedział ojcu, który od początku utrudniał kontakty, że za nią tęskni i chciałby na jakiś czas przenieść się za ocean.

Falcon wpadł we wściekłość i nie chciał ustąpić. Wówczas Chris pokazał, jak bardzo jest zdeterminowany. Uciekł ze szkoły, zaszył się gdzieś w Szkocji i szukano go pełne dwa dni. Odnaleziony i sprowadzony do ojcowskiego domu, zaciął się i milczał. Po tygodniu uciekł ponownie, potem zrobił to jeszcze raz. W końcu Reece Falcon poszedł na kompromis. Zgodził się na dwuletni pobyt Chrisa w Nowym Jorku. Owe dwa lata w zupełności wystarczyły, żeby pomiędzy matką a synem na powrót zadzierzgnęły się nadwątlone już nieco więzy miłości. Ostatnie krótkie wypady Chrisa do Stanów potwierdzały tylko, że matce i synowi udało się nie utracić kontaktu.

Dianę siłą rzeczy ciekawiła kobieta, która spędziła z Falconem dziesięć najlepszych lat swojego życia. Kiedy myślała o niej, przede wszystkim zadawała sobie pytanie, jak w ogóle ta Amerykanka mogła wytrzymać u boku tak bezlitosnego i bezwzględного człowieka dłużej niż jeden dzień?

I Diana dochodziła do wniosku, że Cathy Falcon była albo podobna z charakteru do męża, albo w jakimś sensie znieczulona pod względem moralnym. Istniała oczywiście również trzecia możliwość, a mianowicie że po prostu kochała Falcona i metody jakimi zdobywał pieniądze, nic a nic ją nie obchodziły. Ale miłość kogokolwiek do tego człowieka przechodziła zdolności pojmowania Diany. Dlatego też nie poświęciła jej ani jednej myśli.

-I jak żyje się twojej matce? - zapytała, popijając kawę.

Nie tknęła dotąd jedzenia i nie zamierzała tknąć. Kupił je Reece Falcon, a więc zapłacił za nie pieniędzmi stanowiącymi czyjaś krzywdę. Udławiłaby się tymi rogalikami!

Natomiast Chris, przeciwnie, zmiatał z tacy, jakby nie jadł od tygodnia. Najwidoczniej on i Puddle mieli ze sobą coś wspólnego.

- Nie najgorzej. A poza tym za każdym razem, gdy wpadam do Nowego Jorku, odnajduję moją małą siostrzyczkę, wyobraź sobie, coraz większą i większą.

Diana zaniósła się śmiechem.

- Tak, wyobrażam sobie. Niektórym dzieciom, jak słyszałam, zdarza się rosnać.

Chris udał, że czuje się dotknięty.

- Bardzo zabawne, Dobrze wiesz, co chciałem przez to powiedzieć.

Wiedziała, co chciał przez to powiedzieć. Chciał wyrazić swą miłość do pięcioletniego aniołka, który był jego siostrą przyrodnią i

którego zdjęcia Chris nosił w portfelu i pokazywał wszystkim, wszędzie i o każdej porze.

- Jestem przekonana, że na twój widok ta coraz większa kruszynka zatańczyła ze szczęścia - powiedziała Diana, gładząc go po ramieniu.

- A żebyś wiedziała. Ale to cofa nas do początku naszej rozmowy. - Przerwał na chwilę dla zaczerpnięcia powietrza. - Czy cieszysz się, że mnie widzisz?

- Powiedziałaś ci...

- Dokładnie nic. - Bolesnie westchnął. - I taka właśnie jesteś. Coś mówisz, ja słucham tego jak wyroczni, a potem okazuje się, że nic nie powiedziałaś.

Zmarszczyła brwi. Rozmowa nagle stała się poważna.

-Chris...

- Dostarczano ci róże?

Istniała oczywista zgodność między namiętnością symbolizowaną przez róże a namiętnością, jaka zabrzmiała w głosie Chrisa, zadającego to pytanie.

- Tak, dziękuję — odparła, próbując przesłonić wewnętrzną rozterkę ciepłym uśmiechem. - Naprawdę niepotrzebny kłopot.

- Ależ żaden kłopot. - Patrzył teraz na nią ostrzejszym spojrzeniem. - Czytałaś moje liściki?

Zwilżyła wargi. Kiwnęła głową.

- Miałaś rację, pisząc w ostatnim o swoim ojcu. Faktycznie przyjechał...

Chris w pierwszej chwili nie mógł połączyć się, o co Dianie właściwie chodzi. Jego twarz wyrażała kompletne zaskoczenie. Czekał na odpowiedź dotyczącą liścików z oświadczeniami, a tymczasem ona zaczęła mówić o czymś zupełnie innym. Zdaje się, że wspomniała coś o ojcu.

- Przyjechał do Paryża?

- Tak, wczoraj.

- Czy był sam?

Ach, widocznie Chris dobrze wiedział o istnieniu rudowłosej piękności. Ale czy również wiedział, że jego ojciec przeznaczył ją na swoją żonę?

- Nie. Widziałam go z jakąś kobietą.

-Do diaska! - Zaskoczył ją agresywny ton tego okrzyku. - Czy on rozmawiał z tobą? - zapytał z niepokojem w oczach.

- Zamieniliśmy kilka słów - odparła zgodnie z prawdą.

Jeżeli Chris znał ojca, to musiał wiedzieć, że w jego przypadku nawet krótka rozmowa nie oznaczała bynajmniej braku treści.

- Mam nadzieję, że nie zachował się... obraźliwie?

Diana pomyślała, że słowo to tak pasowało do zachowania Falcona, jak zieleń pasuje do trawy, błękit do nieba, a czerwień do krwi.

Wzruszyła ramionami.

- Nasza rozmowa nie trwała długo, a poza tym staliśmy w tłumie innych gości.

Chris wstał i z rękami w kieszeniach spodni zaczął przechadzać się po pokoju.

- To dobrze. Bo wiesz, przed odlotem do Nowego Jorku uciałem sobie z nim małą pogawędkę. Wypytywał mnie o ciebie...

- Tak? - zapytała, zaskoczona tym, że przerwał.

- Powiadomiłem go, że mam zamiar ożenić się z tobą - powiedział jednym tchem.

Tak, te słowa musiały wreszcie paść. Ona zaś miała już od dawna przygotowaną odpowiedź, bo wiedziała, że w takiej sytuacji najgorsze byłoby milczenie.

- Postąpiłeś bardzo pochopnie, a nawet, powiedziałabym, lekkomyślnie. Czy nie przyszło ci do głowy, że mówiąc o mnie jako o kandydatce na żonę podrażnisz tylko jego ciekawość, tak że już z samej ochoty poznania mnie wybierze się do Paryża?

Chris najwyraźniej wydawał się rozbawiony. Jego napięcie gdzieś się ulotniło.

- Boże, jak ja uwielbiam harce twoich myśli! - Zaczął chichotać.

- Podrażniłem jego ciekawość, pięknie powiedziane! Wyobraź go zatem sobie nie tyle zaciekawionego, co skamieniałego z furii, zionącego lodowatym gniewem. Oto jak zareagował mój ojciec.

Obraz Reece'a Falcona, skreślony przez jego syna, był tak sugestywny i tak pasował do pierwowzoru, że Diana chcąc nie chcąc również się roześmiała. Bała się tylko, żeby jej śmiech nie przemienił się nagle w płacz. Płacz i śmiech - oto do czego potrafił sprowokować ją Falcon. W swoim życiu wyplakała już jednak dość łez z jego

powodu. Dzisiaj nie miała na nie ochoty. Nawet na łzy wyciśnięte śmiechem.

Chris podszedł do niej, objął ją i czule przytulił do siebie.

- Wierz mi, najdroższa, kiedy mój ojciec bliżej cię pozna, pokocha cię równie mocno, jak ja cię Kocham - powiedział z chłopięcą ufnością w głosie.

Diana pomyślała, że nie ma na tym świecie rzeczy, która byłaby równie wątpliwa.

Reece Falcon spojrział na zegarek, a uświadomiwszy sobie, że w przeciągu ostatnich kilku minut zrobił to po raz szósty czy dziesiąty, parsknął z irytacji. Zachowywał się jak uczeń na swojej pierwszej randce. Dziewczyna nie pojawia się, więc szczeniak sprawdza czas co sekundę. Dziewczyną, na którą czekał Reece, była Diana Lamb. Umówił się z nią i Chrisem w tej restauracji z inicjatywy syna. Intencje były jasne: Chris chciał, by ojciec poznał jego ukochaną.

Czy kiedy zjawią się, postawią go przed faktem dokonanym? Ogłoszą o swoich zaręczynach? Czy Diana Lamb przestała „rozważać” propozycję Chrisa i przyjęła ją? W przeciwnym wypadku po cóż byłby ten obiad i ten cały rytuał spotkania?

A jeśli na jej końcową decyzję wpłynęło jego wczorajsze twarde oświadczenie, że nigdy nie wyjdzie za Chrisa? Przecież kobiety tak często reagują - postanawiają osiągnąć jakiś cel tylko dlatego, że ktoś inny nazwał prowokacyjnie ów cel niemożliwym do osiągnięcia. Lubią po prostu działać na przekór.

Ale Diana Lamb nie tylko urodą różniła się od innych kobiet. Posiadała niemal męską zdolność trzymania w ryzach swoich impulsów. Ta jej umiejętność kontrolowania siebie intrygowała go. Wszakże pamiętał - fakt, że z dużą dozą niesmaku do samego siebie - jak trzymał ją wczoraj w ramionach i miażdżył ustami jej usta. Mógłby równie dobrze całować manekina, i to nie dlatego, że nic nie czuła, bo coś tam, do diabła, musiała czuć, ale że do tego stopnia opanowała swoje reakcje.

Tak czy inaczej pozostawało faktem, że myślał o niej od wczoraj niemal nieprzerwanie. Nawet w tych chwilach, kiedy zajmował się interesami. A to już było sygnałem czegoś wyjątkowego. Pedantyczny rozdział pomiędzy życiem zawodowym a życiem erotycznym, który udawało mu się dotąd utrzymywać, pękł nagle niczym tama zerwana przez wodę. Obie sfery pomieszały się. Zdumiewał się samym sobą.

Siedział więc przy stoliku w ekskluzywnej restauracji, nerwowo spoglądając na zegarek, i debatował sam ze sobą. W pewnej chwili podniósł oczy i zobaczył Dianę.

Restauracja ta miała określony typ bywalców. Przeważali wśród nich ludzie bogaci i sławni, zrozumiało więc, że nic nie mogło ich zaszokować. Byli na szczycie, cały świat znajdował się niżej. Ale tym razem stała się rzecz niezwykajna. Rozmowy ucichły, a wszystkie głowy zwróciły się ku drzwiom.

Ci zblazowani goście uczcili w ten sposób Dianę, modelkę znaną pod pseudonimem Boska.

Reece Falcon wstrzymał oddech.

Dobry Boże...!

Była naga. Tak, była naga, choć oczywiście miała na sobie sukienkę. Efekt nagości osiągnięty został bardzo prostym, a równocześnie wyrafinowanym sposobem. Matowoczarny materiał sięgającej połowy ud sukienki naśladował drugą skórę. Obciskał jej ciało do tego stopnia, że widziało się brodawki dumnie sterczących piersi, pępek płaskiego brzucha, a nawet, choć była to już kwestia wyobraźni, owłosiony trójkącik u zwieńczenia smukłej kolumnady nóg. W rezultacie wydawało się, że spływające na ramiona i niżej, aż do pasa, złociste włosy Diany dotykają bezpośrednio jej skóry, tyle że zabarwionej na kolor czarny. Prawdę mówiąc, Diana ubrana była tylko w swoje włosy. Bo nawet nie miała na stopach pantofli.

Dopiero kiedy podeszła wraz z Chrisem do stolika, Reece zorientował się, że wcale nie jest bosa, tylko że jej czółenka zrobione są z czegoś przezroczystego.

Ona i Chris stanowili dobraną parę. Jednakowego wzrostu, młodzi, jaśniejący, wybitnie urodziwi. Ale on, Reece, po to tu właśnie przyszedł, aby uświadomić im, że parą być nie mogą i nigdy nie będą. Mógł zabrać ze sobą Barbarę, ale myśl o tym, że zgaśnie ona przy porównaniu z Dianą, kazała mu zrezygnować z pierwotnego zamiaru.

Spóźnili się ponad dwadzieścia minut!

- Nazwę to szczytem złych manier - rzekł, wstając i rzucając synowi miażdżące spojrzenie - trzymać gościa samego przy stoliku przez pełne pół godziny.

- Och, daj nam, ojczy, odetchnąć. - Chris uśmiechnął się bez śladu zmieszania na twarzy. - A poza tym, jakim ty znowu jesteś gościem...

Falcon ściągnął brwi.

- Czy to oznacza, że płacenie rachunku mam wziąć na siebie?

- Oczywiście, że nie - sapnął Chris, lekko już poirytowany. - Nie rozumiem, po co w ogóle ta sprzeczka. Spóźniliśmy się tylko dopuszczalny kwadrans.

- Plus osiem minut, co daje w sumie dwadzieścia trzy minuty - odparł Reece, sam dziwiąc się swojej pedanterii oraz temu, że w ogóle podtrzymuje temat.

W tej chwili bardziej niż cokolwiek innego obchodziła go kwestia, czy Chris i Diana spali tej nocy ze sobą. Było to bardzo możliwe i ta możliwość napędzała go wściekłością.

-Obawiam się, że to ja ponoszę winę za nasze spóźnienie - odezwała się Diana. - Suszenie włosów zajęło mi więcej czasu, niż to sobie obliczyłam.

I przepaszającym gestem dotknęła swego złocistego płaszcza. Lekko poruszony, wydzielił z siebie upajający zapach perfum.

Jasne, że nie było na świecie mężczyzny, który nie wybaczyłby takiej drobnostki tak zjawiskowej istocie. Należałoby wszakże dodać - mężczyzny z nie zaburzoną równowagą duchową.

- Co powiedziałem o szczycie złych manier, muszę stanowczo podtrzymać.

Diana usłyszała, że Chris ciężko westchnął. W perspektywie wisiła kłótnia. Nie mogła do niej dopuścić. Musiała stworzyć warunki do realizacji swych celów.

- W porządku, Chris - powiedziała, widząc, że ten otwiera już usta do gniewnej riposty - twój ojciec ma całkowitą rację. Ostatecznie to my byliśmy stroną zapraszającą i nie wolno nam było się spóźnić.

- Przeniosła wzrok na Reece'a Falcona. - Ale mam nadzieję, że uzyskamy od pana wybaczenie win.

I uśmiechnęła się do niego tak czarująco, że gdyby po czymś takim nie zrobił zwrotu o sto osiemdziesiąt stopni, to wyszedłby na kompletnego głupca.

-Oczywiście, drobnostka, nie warto już o tym mówić - odparł przez zaciśnięte zęby. - Teraz może zamówimy coś do picia i spojrzemy do karty?

Zamówili drinki i wzięli się do studiowania kart. Przy tej czynności Diana i Chris zbliżyli do siebie głowy i ich włosy zlały się w jedną jasność. Wydawali się pogodni i rozluźnieni.

Niestety, nie można było tego powiedzieć o mężczyźnie, który siedział po drugiej stronie stolika. Im częściej tamci się śmiali i wymieniali żarciki na temat proponowanych dań, tym mocniej Reece Falcon zaciskał szczęki, tym głębsze bruzdy znaczyły się na jego czole i policzkach, tym bardziej jego źrenice przypominały ciekłą, rozżarzoną surówkę. Diana widziała to i czuła głęboką satysfakcję, Falcon był zazdrosny o Chrisa. Mieściło się to jak najbardziej w jej planach.

- Przestańcie wreszcie się wygłupiać i zamówcie coś!

- wybuchnął zirytowany.

Chris odłożył kartę, właściwie cisnął ją na stół.

- A odkąd to drażni cię zwykle siedzenie przy sobie dwojga ludzi, którzy są w bliskich ze sobą stosunkach? - zapytał i spojrzał wyzywająco na ojca.

Zapadło milczenie.

Po chwili w tej głuchej ciszy rozległo się niewyraźne chrząknięcie Falcona.

-Przepraszam, czy powiedział pan coś? - zagadnęła go Diana z tak niewinną miną, iż zląkł się, że oszaleje.

Wpływ jej urody stawał się męką trudną do zniesienia.

- Nie - wykrztusił z siebie. - Chociaż Chris dobrze wie, że na temat waszego stosunku mam sporo do powiedzenia.

- Nie teraz, ojczy - poprosił Chris. - Najpierw poznaj Boską, jej...

- Zdaje się, że ta pani ma na imię Diana - z przekąsem zauważył Falcon.

Chris oblał się rumieńcem.

- W porządku, skoro wolisz tę formę, to proszę, abyś poznał wpierw Dianę.

Owszem, Falcon chciał poznać Dianę, bardzo chciał ją poznać, ale nie w sposób, jaki sugerował Chris. Chciał dotknąć jej łądogowatej kruchości, a potem robić z nią to, co mężczyzna robi z kobietą.

- Chętnie - powiedział drewnianym głosem - z tym że pojawia się pewna drobna kwestia. Otóż wątpię, abyśmy my dwoje, to znaczy ja i panna Lamb, mieli w przyszłości spotykać się na tyle często, by trzeba nam było w ogóle dzisiaj się poznawać.

Zielone oczy Diany patrzyły pytająco. Stwarzała wrażenie dziecka, któremu odmówiono właśnie wymarzonej zabawki.

Chris opiekuńczo otoczył ją ramieniem. Jego blada ściągnięta twarz wyrażała wewnętrzną determinację.

- To twoja sprawa, ojcze, jak często będziesz w przyszłości widywał się z Dianą. Bo jeśli o mnie chodzi, to Diana na zawsze zostanie już w moim życiu!

Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął Reece, to zostać teściem tej dziewczyny. Znalazłby się wówczas w sytuacji człowieka, który patrzy na zakazany owoc. Być może znienawidziłby syna. Na pewno przestałby go kochać.

-Nigdy nie mów hop, zanim nie przeskoczysz - powiedział ironicznie. - W życiu zdarzają się diabelne komplikacje.

Chris poblądł jeszcze bardziej.

- Nie rób mi tego, ojcze - ostrzegł cichym głosem.

- A czy nie mam prawa?

- Powiedziałem ci, że...

- Nie musisz kończyć, Chris. Jesteś moim synem i znam cię na wylot.

Chris zdusił w sobie odpowiedź, gdyż właśnie dotarło do ich stolika pierwsze zamówione danie.

Kelnerzy krzżeli się i Reece miał czas, aby uspokoić się i przemyśleć zachowanie syna. W jego postawie uderzyła go przede wszystkim nadmierna defensywność. Jak gdyby... Ale nie, przecież musiał jej o tym powiedzieć. Tak ważnej rzeczy, ważnej dla nich obojga, nie mógłby ukrywać przed kobietą, którą kochał i z którą chciał się ożenić. A jednak... Kiedy rozmawiał wczoraj z Dianą, nie poruszył tej kwestii, gdyż uznał iż nie jest to konieczne. Zakładał zresztą, że Diana została o wszystkim poinformowana. Ale teraz nie był już tak pewny jak wczoraj. Przeciwnie, coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że Diana nie ma o ni_ czym zielonego pojęcia.

Lecz jeśli nie wiedziała, to wszystko nabierało innego znaczenia. Kluczowe stawało się pytanie, czy on Reece, napomknie o tej sprawie i wyciągnie ją na światło dzienne. Pytanie, które posiadało w gruncie rzeczy charakter twierdzenia.

Współczułby Chrisowi, gdyby równocześnie nie doświadczał ulgi na myśl, że romans syna z Dianą nie ma przed sobą żadnych perspektyw. A skoro koniec był kwestią godzin, to on, Reece, w obawie, aby nie zranić Chrisa, odczeka kilka tygodni, a potem zrobi swój pierwszy ruch.

Tak, czuł, że zje ten obiad z prawdziwą przyjemnością. Po kawie zaś...

Niewątpliwie coś się zmieniło w rozkładzie napięć przy ich stoliku. Diana wyraźnie czuła, że teraz jedyną zdenerwowaną osobą spośród nich jest Chris. Załedwie dziobał widelcem w talerzu,

podczas gdy jego ojciec jadł ze smakiem i ochoczo podnosił do ust kielich z winem.

Ta zmiana nastroju obu mężczyzn musiała mieć swoje źródło w ich ostatniej wymianie zdań. Słowa które wówczas padły, mogły oznaczać wszystko, a więc mogły być również sygnałem jakiejś tajemnicy. Wydawało się, jakby Falcon miał coś w zanadrzu i próbował zaszantażować tym Chrisa. Nie udało się, więc postanowił to odsłonić. I teraz z uśmiechem satysfakcji przyklejonym do warg czekał na stosowny moment.

Nie śpieszył się. Grał z Chrisem w kotka i myszkę. Pozwalał sobie na okrucieństwo względem syna, trzymając go w nieludzkim napięciu. I dopiero kiedy podano kawę i deser, stało się jasne, iż zaraz zaatakuje. Oczywiście, nie mógł wiedzieć, że cokolwiek zrobi czy powie, niczego to nie może zmienić w jej planach.

- Mało brakowało - powiedział, odstawiając filiżankę - a przyszedłbym tu dzisiaj z Barbarą.

Właściwie Diana poczuła się rozczarowana. Bo i cóż nadzwyczajnego było w fakcie, że Falcon chciał wprowadzić narzeczoną w problemy rodzinne? Zauważyła jednak, że Chris zareagował na słowa ojca jak na chłaśnięcie biczem. Być może nie cierpiał kobiety, którą tamten zamierzał poślubić?

- Lecz pomyślałem sobie - kontynuował Falcon takim tonem, jakby relacjonował wyniki jakiejś socjologicznej ankiety - że byłoby rzeczą nader niewłaściwą zapraszać przyszłą teściową syna, aby poznała jego obecną kochankę.

Chris żywo zaproponował przeciwko sprowadzaniu Diany do poziomu „kochanki”. Jego twarz bladła i czerwieniała na przemian. Malował się na niej ból pomieszany z goryczą. Ale Dianę interesowała w tej chwili inna twarz. Triumfująca twarz Falcona, człowieka, który właśnie w swoim mniemaniu dał mata przeciwnikowi.

Scandalous

ROZDZIAŁ CZWARTY

Teraz już miał pewność, że ona o niczym nie wiedziała. Powiedział mu o tym błysk zaskoczenia w jej zielonych oczach, jak również charakterystyczny układ warg. Ale jeżeli nawet pozwoliła sobie ujawnić swoje emocje, to szybko, zdumiewająco szybko nad nimi zapanowała, maskując je chłodnym uśmiechem.

Boże, ta dziewczyna była wprost nieprawdopodobna! Zaiste, budziła zachwyt nie tylko swoją urodą.

Skoro Falcon nazwał Barbarę - kimkolwiek była ta osoba! - przyszlą teściową Chrisa, myślała Diana, to wypływał stąd oczywisty wniosek, że Chris musiał w przeszłości zaręczyć się z jej córką. Fakt ten nie zagrażał bynajmniej jej planom. Kiedy tylko osiągnie cel, jaki sobie wyznaczyła, Chris będzie mógł wrócić do swojej narzeczonej, a ona gotowa będzie pić i tańczyć na ich weselu.

Fakt, że niewiele wiedziała o dziewczynie zaręczonej z Chrisem. On sam nie zająknął się o niej dotąd ani jednym słowem. Trzymał ją w ukryciu i przypominał tym bigamistę, który robi wszystko, aby jedna żona nie domyśliła się istnienia drugiej. Jak zamierzał radzić sobie na dłuższą metę z dwiema narzeczonymi naraz, ona, Diana, nie potrafiła rozstrzygnąć tej kwestii.

Tymczasem Chris wpatrywał się w ojca i stwarzał wrażenie bardzo nieszczęśliwego.

- Te zaręczyny były twoim pomysłem...

- Ale to ty sam się oświadczyłeś. Nikt wówczas nie przykładał ci pistoletu do głowy.

Chris zaczerwienił się, mimowolnie potwierdzając prawdziwość słów ojca.

- Wiedziałem, że robię coś, czego ty sobie życzysz... -Nasze życzenia w tamtym okresie były idealnie zgodne ze sobą. I dopiero kilka tygodni temu - tu spojrzał na Dianę - Madeleine przestała ci odpowiadać.

Madeleine. A więc narzeczona Chrisa została wreszcie wskazana z imienia. Było to bardzo ładne imię. Ciekawe, czy równie ładna była osoba, która je nosiła? Całkiem możliwe, skoro Chris chciał się z nią ożenić. Wszystko wskazywało na to, że gustował w pięknych dziewczynach.

Wciąż jednak kwestią otwartą pozostawał wzajemny stosunek Falcona i Barbary. Czyżby miało tu dojść w pewnym sensie do złamania tabu i pomieszania ról teściowej i macochy oraz synowej i pasierbicy? Diana zadała sobie to pytanie, lecz nie umiała na nie definitywnie odpowiedzieć.

- Chciałem zrobić ci przyjemność - bronił się Chris. - Nie ukrywałeś, że to małżeństwo traktujesz jako dobrą rodziną inwestycję. A poza tym naprawdę lubiłem Maddy...

- Tego twojego lubienia nie wystarczyło nawet, by zaoszczędzić jej upokorzenia, na jakie ją naraziłeś, romansując ze sławną modelką - powiedział ojciec z dezaprobatą w głosie.

-To Maddy wie?

-A jak myślałeś? Przecież nie masz do czynienia z dziewczyną o horyzontach kreta. Ile razy widziałeś się z nią od jej powrotu ze Szwajcarii przed miesiącem? Dwa? Trzy razy? Czy tak postępuje zakochany mężczyzna i przyszły małżonek? A co będzie, jeśli wpadnie jej w ręce gazeta ze zdjęciem twoim i Diany? Wyobraź sobie jej ból, żal, gorycz, rozczarowanie. Czy aby na pewno Madeleine zasługuje na taką karę? Jej jedyną winą jest miłość do ciebie. Toteż chcąc jakoś załagodzić wymowę twego skandalicznego zachowania, wziąłem ją i Barbarę na pokaz mody do Paryża...

- Ja nie mogłem - zdołał wtrącić Chris, zmieszany jak uczeń na polajance u dyrektora szkoły.

Czego nie mogłeś? Pojechać tam z Madeleine, bo akurat byłeś w Stanach? Ależ tylko pomyśl, chłopcze. Pięknie by to wyglądało, gdybyś siedział tam z Madeleine, ślinił się na widok spacerującej po wybiegu Diany i robił do niej słodkie oczy. Nigdy nie uważałem cię za głupca, Chris, ale w tej sprawie zachowujesz się jak skończony osioł.

Jeżeli słowa można porównać do ciosów, to Chris coraz bardziej kulił się pod ciosami słów ojca. Diana współczuła mu, mając zarazem świadomość, że zasługiwał na takie potraktowanie. Pomijając zwykłą nieuczciwość, czystym idiotyzmem było pokazywać się z nią publicznie w sytuacji, gdy miało się narzeczoną. Prędzej czy później rzecz cała musiała się wydać, fotoreporterzy musieli z czegoś żyć - i co wtedy?

Dzięki Bogu, ona sama nie była na serio zaangażowana emocjonalnie. I dlatego współczuła również Madeleine, choć z całkiem innego powodu. Chris swoim postępowaniem odbiegał od wzorca wiernego, kochającego narzeczonego - powstawała kwestia, jakim będzie mężem? Niewykluczone, że dziewczyną w tej chwili rozważała możliwość wycofania się z narzeczeńskiej umowy.

- Chcę się ożenić z Dianą - powiedział Chris, puszczając mimo uszu wszelkie argumenty i pokazując, jakim upartym jest chłopcem.

- Z Madeleine ostatnio prawie się nie widywałem, a przedtem była w tej szwajcarskiej szkole, więc jest mi niemal obca.

- Co nie znaczy, że z chwilą, gdy zniknąłeś jej z oczu, ona o tobie zapomniała - odparował ojciec. - Zresztą diamentowy pierścionek, jakim ją obdarowałeś na ostatnie Boże Narodzenie, przypomina jej o tobie codziennie.

Chris czuł się jak w pułapce bez wyjścia. Dlaczego istniała Madeleine? Dlaczego okazał się na tyle głupi, by ulec wówczas ojcu?

Diana natomiast, usłyszawszy o szkole w Szwajcarii, znalazła wreszcie odpowiedź na pytanie, dlaczego nie słyszała dotąd o narzeczonej Chrisa. Pomyślała też, że i ona z pewnością ukończyłaby tę szkołę, gdyby...

Spojrzała na Reece'a Falcona, modląc się w duchu, by nie odczytał z jej oczu nienawiści, jaką czuła w tej chwili.

- Chris niczego złego nie zrobił. Publicznie pokazaliśmy się tylko kilka razy, gazety coś tam opublikowały, ale na żadnym ze zdjęć nie ma niczego takiego, co mogłoby zaniepokoić Madeleine lub

wzbudzić jej podejrzania. Zresztą w ogóle nie było niczego takiego, co mogłoby postawić pod znakiem zapytania związek Chrisa z Madeleine.

- Diana...

Falcon poczuł, że dostał wiatru w żagle.

- Chris, radziłbym ci przyjąć do wiadomości usłyszane przed chwilą słowa. Jeżeli coś, zepsułeś, spróbuj to naprawić. I w ogóle prośba na przyszłość, abys starał się oszczędzać innym kłopotów wynikających z twojej lekkomyślności.

Było to błyskotliwe posunięcie mistrza szachowego i Diana nie mogła się oprzeć podziwowi. Falcon postawił syna w sytuacji, w której jedynym uczciwym wyborem dla mężczyzny był powrót do Madeleine. Jednak podziw Diany mieszał się z pogardą. Bo niewątpliwie Falcon liczył w związku z tym małżeństwem na jakieś wymierne korzyści. Nie obchodziły go uczucia innych. Diana była pewna, że gdyby zwietrzył większy interes w ślubie syna z nią właśnie, sam namawiałby Chrisa do zalotów.

- A może odwiedziłbyś dzisiaj Madeleine? - zapytał syna ojcowskim, prawie czułym głosem. - Przepróż ją, że tak długo się nie zjawiałeś. A jeśli uznasz, że trzeba będzie złożyć jakiś dowód poprawy, umów się z nią na jutrzejsze zakupy. W biurze damy sobie radę bez ciebie.

Lekceważenie, z jakim wyrażał się Falcon o tamtej dziewczynie, wzbudziło w Dianie niesmak.

- Jasne, wspólne zakupy na pewno ją ułagodzą! - rzuciła pogardliwie.

Falcon wykrzywił usta w uśmiechu.

- Nie trzeba lepszej zaprawy, by zlepić dwie cegły. Akurat w tej kwestii proszę mi wierzyć.

- No to może mnie pan uznać za kogoś małej wiary. Wzruszył ramionami.

- Nie zna pani Madeleine...

- Ani ty jej nie znasz - wtrącił Chris - skoro na serio uważasz, że jeśli powłóczę się z nią po sklepach, to już wszystko będzie cacy. A poza tym ani mi w głowie klękać przednią, przepraszać i tak dalej. Po prostu nie chcę tego. Czy nie rozumiesz? Chcę zerwać zaręczyny!

- Tak? Więc zachowaj się jak mężczyzna i sam jej to powiedz! - rzekł Falcon, przywdziewając na twarz kamienną maskę okrutnika.

Chris zwilżył wargi. Nerwowo miał w dłoniach serwetę.

- A ty? Jak ty się do tego ustosunkujesz?

Och, Chris! jęknęła w duchu Diana. Jak długo jeszcze pozostaniesz dzieckiem, które czyni tylko to, co powie mu jego tatuś? Dlaczego boisz się tego człowieka?

Tak, Falcon we wszystkich wzbudzał strach, we wszystkich oprócz niej. Diana czuła, że mogłaby walczyć z nim do upadłego, po sam kres i koniec życia.

Siedział teraz całkowicie rozluźniony. Wiedział, że ma nad synem druzgocącą przewagę.

- Spróbuj to zrobić, a przekonasz się. Zdawało się, że Chris jął spadać w jakąś przepaść.

- Miałem nadzieję, że kiedy poznasz Dianę, zmienisz swój pogląd na niektóre sprawy i, zrozumiesz, że piękniejszej, miłszej, cudowniejszej synowej nie mógłbyś wymarzyć sobie nawet w snach.

-Tak - przyznał Reece, patrząc na Dianę lekko zmrużonymi oczami. - Zgadzam się z tobą w całej rozciągłości.

- W takim razie... - zaczął Chris z nadzieją w głosie i rozjaśnioną twarzą.

- Nie ma żadnego „w takim razie”. Cudowna dziewczyna nie musi być dziewczyną odpowiednią dla ciebie.

Ale może być odpowiednią dla twojego ojca, Diana dokończyła w myślach za Falcona. Nie ulegało dla niej wątpliwości, że ten człowiek chce ją mieć wyłącznie dla siebie.

Reece Falcon wiedział już, że jeśli Chris natychmiast nie pożegna się i nie zostawi ich samych, to on każe mu po prostu się wynosić. Czyniąc tak, zachowałby się oczywiście jak wariat, lecz ta dziewczyna była warta nawet i takiej ceny. Była warta dosłownie każdej ceny.

- Ja odwiozę Dianę do domu, a ty łap taksówkę i pędź do Madeleine - zwrócił się do syna, sygnalizując równocześnie ręką, że prosi o rachunek.

Oślepiały Chris spojrział na Dianę, lecz ujrzał samo piękno, bez śladu wewnętrznych przeżyć. Również

Reece poza prześliczną powierzchnią nie dostrzegał niczego.

Ta dziewczyna będzie wkrótce płonąć z rozkoszy, pomyślał.

- Sądzę, że im wcześniej załagodzis rozdzźwięk pomiędzy tobą a Madeleine, tym lepiej, Chris - powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Mówiąc to, powodował się nie tylko egoizmem. Ten chłopiec i ta dziewczyna bardzo do siebie pasowali, znali się od lat i dotąd autentycznie się lubili. Z czasem się pokochają. Ich ślub był tylko kwestią czasu, co do tego Reece nie miał najmniejszych wątpliwości.

Nie wątpił też, że Diana mówiła prawdę, kiedy subtelnie dała do zrozumienia, iż ona i Chris nie byli kochankami. Czerpał swoją wiarę z braku reakcji ze strony Chrisa. A poza tym kłamstwo, ten bękart tchórzostwa, nie pasowało do Diany.

Chris, mimo że przegrał na całej linii, nie chciał pogodzić się z porażką.

- Powiedziałem ci już, że nie chcę niczego zlepiać, łagodzić, poprawiać i ratować. Co zaś się tyczy rachunku, to ja go ureguluję.

Chwycił kremowy blankiecik i dogrzebawszy się nerwowymi ruchami portfela, cisnął pieniądze na stół.

Falconowi zrobiło się żal chłopaka. Bądź co bądź był jego synem, jedynym dzieckiem. Gdybyż w tym wszystkim nie chodziło o Dianę... Właśnie zbliżyła głowę do głowy Chrisa i coś do niego mówiła. Reece nie mógł rozróżnić słów, choć bardzo się starał. Skoro więc gotów był podsłuchiwać, gotów był na wszystko. Spoglądał na złocistą kotarę jej włosów i wyobrażał sobie różne łózkowe przyjemności. Ten sen na jawie przerwany został jej słowami:

-Ja i Chris przyjechalismy tutaj taksówką, więc chętnie skorzystamy z pana propozycji odwiezienia nas do domu.

Było w tym wyzwanie, gdyż oboje wiedzieli, że żadna taka oferta nie padła z jego ust. Nie mogła zresztą paść, gdyż pająk nie po to przedzie swoją sieć, by potem samemu ją porwać. O ile więc łowca nie odbiegał w niczym od normy, o tyle łowiony owad był szczególnego gatunku. Reece w swoim erotycznym życiu, usianym w zasadzie triumfami, doświadczył również porażek, ale zawsze za jakąś odmową kryło się przywiązanie do innej osoby, miłość, lojalność, lęk przed zdradą. Tutaj jednak natknął się na coś zupełnie innego - na mur pogardy, której w żaden sposób nie potrafił sobie wytłumaczyć.

W ogóle w miarę obcowania z Dianą coraz mniej zauważał jej urodę, a coraz bardziej jej nieuchwytność i zagadkowość. Nie mieściła się w żadnym schemacie. Trudno mu było odgadnąć jej myśli, a jeszcze trudniej przewidzieć, jak się zachowa za minutę.

Opuściwszy restaurację, wsiedli do czarnego BMW Falcona. Diana domyślała się jego planów, a znając swoje wiedziała, że czeka go przykre rozczarowanie.

Faktycznie, kiedy zatrzymali się przed domem Chrisa, po twarzy jego ojca przemknął cień głębokiej satysfakcji.

- Zadzwoń do ciebie jutro rano, Chris. A teraz trzymaj się, chłopcze. Podrzucę jeszcze Dianę.

Ten człowiek, okazywało się, naprawdę wierzył w to, że wszystko mu pójdzie jak po maśle!

- To bardzo uprzejmie z pana strony - powiedziała, odpinając pasy - ale chyba rozumie pan, że w tej sytuacji ja i Chris mamy jeszcze sobie dużo do powiedzenia.

Sądząc z jego miny, Reece w tym momencie nie różnił się niczym od kapitana, który nagle na pełnym morzu dowiaduje się, że załoga chce opuścić statek.

- Myślałem, że mam zawieźć panią do domu - wybąkał.

Obdarzyła go olśniewającym uśmiechem.

- No cóż, dotrę tam nieco później. - Wysiadła z samochodu i stanęła obok czekającego na chodniku Chrisa. - Miło było pana znowu spotkać.

- Nie wątpię, że na tym spotkaniu nasza znajomość się nie skończy - rzucił, włączając bieg.

- Doprawdy? - Jej brwi upodobniły się do dwóch odlatujących ptaków. - Przyznaję, że trudno mi teraz wyobrazić sobie powody jej kontynuowania.

Zacisnął dłonie na kierownicy tak mocno, że aż zbieleły mu knykcie.

- Mając powody czy nie, spotkamy się wcześniej, niż mogłaby pani w tej chwili przypuszczać - odparł chrapliwym głosem, po czym ruszył z piskiem opon.

Kiedy zniknął za rogiem, Diana i Chris poczuli ogromną ulgę, a młody mężczyzna wydawał się wręcz uskrzydłony.

- Boże! - wykrzyknął na całą ulicę. - To był prawdziwy horror.

Była pod urokiem jego naiwności. Ironicznie się uśmiechnęła.

-A czego, jeśli można wiedzieć, oczekiwałeś po swoim ojcu? Że z czułością pogłodzi cię po twojej jasnej główce i pochwali za to, że chcesz się zenić z jedną kobietą, będąc zaręczony z drugą? Trudno się dziwić jego wściekłości.

Zresztą odgrywały tu rolę jeszcze inne względy. Reece Falcon związany był z matką Madeleine i decyzja Chrisa bez wątpienia zagrażała temu związkowi na którym, wszystko na to wskazywało, Falconowi bardzo zależało.

- A ty? - zapytał Chris z niepokojem w głosie. - Czy ty również jesteś na mnie wściekła?

Gdyby kochała Chrisa i na serio myślała o nim jako o swoim przyszłym mężu, byłaby więcej niż wściekła. Byłaby w tej chwili wręcz uosobieniem furii, nawałnicą, chmurą gradową z piorunami.

- Sądzę, że zachowałeś się bardzo głupio. Bo jak w ogóle mogłeś wyobrazić sobie, że sprawa twoich zaręczyn nie wypłynie w rozmowie?

-Myślałem po prostu, że nie zrobi mi tego. Poznawszy ciebie, machnie na tamto ręką.

Co za naiwny chłopak! Uważał, że stawiając ojca przed faktem dokonanym, wymusi na nim upragnioną decyzję. Tymczasem to Falcon był tym manipulatorem, który sprawiał, że inni tańczyli, jak on im zagrał.

-No i cóż? Poznał mnie, lecz chyba się mu nie spodobałam - zauważyła żartobliwie.

Chris patrzył na nią z cierpieniem w oczach.

- Czy tamte twoje słowa, pamiętasz które, miały oznaczać, że nie zamierzasz wyjść za mnie? - zapytał cichym głosem.

Pogładziła go po policzku.

- Chris, nie masz prawa nawet wspominać o naszym małżeństwie.

- Czy to z powodu Maddy?

- Oczywiście, że z powodu Maddy! - potwierdziła niecierpliwie.

- Byłeś wspaniałym kompanem, ale teraz musisz wreszcie zrozumieć, że masz narzeczoną i że ja...

- Czy będąc w Paryżu poznałeś kogoś? Czy o to chodzi?

- Chris! - Nie wierzyła własnym uszom.

- Pytam, bo po powrocie wydajesz mi się jakaś inna, bardziej zdystansowana, mniej czuła.

Coś tu się nie zgadzało! Nie mogła być mniej czuła, skoro o całej czułości w przeciągu tych kilku tygodni świadczyło parę pocałunków, na które mu pozwoliła. Najwidoczniej Chris podniósł w wyobraźni ich przyjacielski związek do rangi namiętnego romansu.

- Nie ma w moim życiu nikogo, Chris - odparła zgodnie z prawdą. - Mimo to nie będę twoją żoną, nigdy zresztą nie zamierzałam nią zostać. I oczywiście nie poszłabym na to dzisiejsze spotkanie, gdybym wiedziała o istnieniu Madeleine.

Raczej jednak poszłaby. Potrzebowała Chrisa wyłącznie po to, by za jego pośrednictwem nawiązać kontakt z Falconem. Obecnie Chris stanowił już tylko zbędny balast. Zresztą jego egoizm nie

odbiegał daleko od egoizmu ojca. Jediną osobą, która z całego towarzystwa zasługiwała na współczucie, była Madeleine.

- Ale dlaczego? Przecież wiedziałaś, że cię kocham. Nic do mnie nie czując, kazałaś mi wierzyć...

- W cokolwiek wierzyłeś, wierzyłeś w to na swój własny rachunek. Nigdy nie zapewniałam cię o swojej miłości. To twoje bezmierne samouwielbienie kazało ci zamieniać złudne nadzieje w pewność.

Chris nie mógł wyjść ze zdumienia. Oto na jego oczach ta pogodna dziewczyna zmieniła się w jednej chwili w fukającą kotkę.

- O jakim samouwielbieniu mówisz? - zapytał prawie szeptem.

- Mówię o czymś, co stanowi kręgosłup Falconów. Po spotkaniu z twoim ojcem jest to dla mnie więcej niż pewne. - Przerwała, uświadamiając sobie, że istniała jednak zasadnicza różnica między aroganckim i bezwzględnym egoizmem ojca a sentymentalnym egoizmem syna. Uśmiechnęła się. - Tak czy inaczej, mam nadzieję, że pozostaniemy przyjaciółmi, Chris?

Zabrzmiało to jak najprawdziwsze pożegnanie. Przeraził się.

- Ależ ja ciebie kocham - rzekł, wyciągając ręce niemal w błagalnym geście.

- Czy jesteś tego pewien? A może kochasz Madeleine, tylko że trochę o niej zapomniałeś? Od miesięcy się nie widzieliście, a rozłąka nie zawsze wzmacnia uczucia. Bywa też jak piasek zasypujący ślady.

Chris zaczerwienił się. Wobec tych mądrych słów poczuł się śmieszny i gorszy, wręcz infantylny. Na swoją obronę miał tylko swoje uczucia.

- Nie chciałbym cię utracić, Diano.

- Nie można utracić czegoś, czego nigdy się nie posiadało.

Miała rację. Musiał zacząć myśleć i postępować jak mężczyzna. Zwiesił głowę.

- Więc wszystko to sobie wmawiałem? Pocałowała go w policzek. Ostatecznie nie z nim toczyła wojnę, tylko z jego ojcem.

-Pójdź za radą ojca i odwiedź Madeleine. Chociażby po to, aby się z nią pożegnać.

- Rozumiem - westchnął. - Jestem jej to winien. Tak postępują prawdziwi mężczyźni.

Kiwnęła głową.

- A później, gdy już to zrobię, czy będę mógł wrócić do ciebie? Nie - odpowiedział sam sobie, widząc wyraz jej twarzy.

- Chris, między nami wszystko skończone. Uczynił gest pokonanego.

-I znów mój ojciec postawił na swoim! Nie wyobrażasz sobie, jakie to upokarzające.

Tak się jednak składało, że wyobrażała sobie.

- Jeżeli chcesz, to o niczym mu nie powiem. Niech sądzi, że nadal się spotykamy.

Ożywił się i rozpogodził.

- W porządku. On się trochę pomartwi, a my będziemy mieć swoją tajemnicę. - Odchrząknął. - Bo chyba nie mogę już liczyć na to, że wszystko wróci do poprzedniego stanu?

- Nie, Chris. Zadbaj o Madeleine. Czuję, że ona jest tego warta.

- Boże, jakim ja byłem głupcem! - jęknął, uderzając się dłonią po udzie.

- Błądzenie jest rzeczą ludzką. - Nic oprócz tego banału nie chciało jej przyjść do głowy.

- Obserwacja trafna, tyle że nie dotyczy mojego ojca.

Poczuła w sercu lodowaty chłód. Nie, Reece Falcon nie wyłamywał się bynajmniej z tej ogólnej zasady. Popęłnił fatalny błąd, popychając jej ojca do samobójczej śmierci, i za ten błąd będzie musiał odpokutować.

Nie przyjechała taksówką. Pojawiła się w perspektywie ulicy, a potem, zbliżając się chodnikiem, smukła, wysoka, czarna, niczym jakaś somalijska piękność, wracająca z wieczornej kąpieli w zatoce. Tylko długie, falujące w rytm kroków włosy nadawały jej rys europejskości. Teraz w świetle latarni i księżycy wydawały się bardziej srebrne niż złote, porażając lunatycznym odblaskiem pogodnej nocy.

Reece Falcon obserwował ją z wnętrza swego samochodu, zaparkowanego naprzeciwko jej domu. Czekał już od dwóch godzin. Pragnął przekonać się, czy wróci do siebie, czy też spędzi noc z jego synem. I oto miał ją przed sobą w odległości czterdziestu, trzydziestu, dwudziestu metrów. Ciągłe w tych zabawnych przezroczywych pantoflach, które dawały złudzenie bosych stóp. Wróciła, ale co ona i

Chris robili przez te dwie godziny? Czy kochali się, czy tylko rozmawiali ze sobą?

Zacisnął dłonie i zęby. Targnął nim wielki gniew. Na nią, na syna, wreszcie na samego siebie. Wściekał się, że mimo całej swej potęgi nic nie wie i musi szukać po omacku rozsianych okruszyn prawdy.

Diana stanęła przed frontowymi drzwiami budynku i wyjęła klucz z torebki. Czowała na plecach wzrok Falcona. Zauważyła go od razu, gdy tylko znalazła się na swojej ulicy. Czekał na nią, a zatem...

Zaczęło się.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Nowy Jork, miasto, które nigdy nie śpi, wydał się tym razem Falconowi nudny i bezbarwny.

Przyleciał do Stanów nazajutrz po obiedzie z Chrisem i Dianą. Oficjalnym powodem tej podróży były interesy, faktycznym konieczność zobaczenia się z Cathy i porozmawiania z nią o ślubie. Ostatecznie była matką Chrisa i miała prawo głosu.

Umówili się na wspólny lunch. Cathy jak gdyby w ogóle się nie zmieniła, tyle że promieniowała szczęściem istoty kochanej. Jej urody nie nadwreżył czas. Podkreślała ją jeszcze miłym, ciepłym, prawdziwie kobiecym sposobem bycia. Reece w pewnym momencie uległ nawet wrażeniu, że siedzi razem z nią przy stole w ich londyńskim domu, a przed kominkiem bawi się kolejką pięcioletni Chris.

- Czy coś się stało, Reece? - zapytała, przerywając w połowie zdania relację z przedstawienia teatralnego, na którym była przedwczoraj.

Zmarszczył brwi, zaskoczony tym niespodziewanym pytaniem.

- A niby co miało się stać? Uśmiechnęła się.

- Po prostu zachowujesz się trochę nietypowo. Na przykład od pięciu minut mieszasz swoją kawę, mimo że nie wsypałeś do niej cukru. Poza tym od godziny ani razu nie spojrzales na zegarek, chociaż wiem, że nie robisz tego rzadziej niż co kwadrans.

Ostatnią uwagą nawiązała do często w przeszłości wysuwanego przez siebie zarzutu, że jej mąż jest niewolnikiem czasu. Podejrzewała go nawet, że zapisuje w notesie godziny, bodaj czy nie minuty, które ma zamiar spędzić z nią przy stole lub w łóżku..

Oczywiście, nie była to prawda, ale musiał przyznać, że w latach swojej wspinaczki w górę nauczył się doceniać wartość czasu. I gdyby nie wtłoczył swojego życia prywatnego i życia zawodowego w sztywne ramy terminarza, ucierpiałyby na tym albo jego interesy, albo sprawy rodzinne i domowe. Ale Cathy i tak wówczas sądziła, że ponosi wszystkie koszty jego sukcesów majątkowych.

Na jej uśmiech odpowiedział uśmiechem.

-Tak mnie sobą oczarowałaś, Cathy, że czas przestał się liczyć.

Rzecz dziwna, a przecież jakże typowa, by nie rzecz, banalna. To, co przed laty stanowiło częsty powód ich kłótni i ściągnęło w końcu na nich katastrofę rozvodu, teraz mogło być przedmiotem żarcików, a nawet pretekstem do wymiany komplementów.

- A odkąd to dajesz się oczarować, Reece? Nigdy przecież żadna kobieta nie mogła sprowadzić cię z prostej drogi twoich spraw zawodowych. Zawsze przeznaczając kobietom jedynie malutki kącik w swojej rozpedzonej salonce.

Być może było tak niegdyś, dzisiaj rzeczy przyjęły inny obrót. Spowodowała to Diana Lamb, dwudziestojednoletnia modelka, o którą zabiegały najlepsze firmy krawieckie i która występowała w najbardziej prestiżowych pokazach. Nie przestawał o niej myśleć od dnia, kiedy ujrzał ją po raz pierwszy. Na zewnątrz funkcjonował

jeszcze całkiem normalnie, telefonował, podpisywał dokumenty, podejmował decyzje, ale w swym wnętrzu był już zupełnie innym człowiekiem. I na pewno człowiekiem udręczonym.

- A może jednak wielki Reece Falcon zszedł na krętą i niebezpieczną ścieżkę sercowej przypadłości? - zapytała Cathy ostrożnie.

Wyprostował się na krześle. Musiał natychmiast wyrzucić z myśli Dianę Lamb. Cathy nie mogła się niczego domyślić. Jedną z jej wad było drażnienie rzeczy do samego końca, aż w pełni je zrozumiała. Na taką szczerłość nie mógł sobie pozwolić.

- Nadal idę szerokim traktem. Ale nie opowiedziałas mi jeszcze o swojej córeczce.

Cathy jednak miała swoją kobiecą intuicję.

- Reece...

-Och, daj spokój - rzucił zniecierpliwiony, łagodząc równocześnie ostrość tej reakcji uściśnięciem jej dłoni. - Chris powiedział mi, że Kelly już tej jesieni idzie do szkoły?

Tym razem poskutkowało. Cathy zaczęła mówić o córeczce, istocie najbliższej jej sercu.

Reece słuchał tylko jednym uchem. Wciąż myślał o Dianie. Powinien o niej zapomnieć. Ale jak zapomnieć o czymś, co już stanowi niejako część twojej osobowości?

A więc jednak miała go wreszcie na muszce!

Minął prawie miesiąc, czyli cztery pełne napięcia tygodnie, podczas których niejednokrotnie myślała, że źle zinterpretowała

ostatnie słowa Falcona. Dopiero dzisiaj, wróciwszy z dwugodzinnego spaceru po wybiegu, otrzymała od swojej agentki telefon z wiadomością, że firma Carlton Cosmetics proponuje jej ciekawy kontrakt.

Carlton Cosmetics to był Reece Falcon. Diana знаła wszystkie jego przedsiębiorstwa, jak również te, w których był udziałowcem.

Propozycja

Carlton Cosmetics, by zgodziła się reprezentować tę firmę i reklamować jej wyroby, jakkolwiek wpłynęła drogą pośrednią przez biuro marketingu, musiała mieć swojego pomysłodawcę właśnie w Falconie.

Mimo nacisku ze strony agentki, która zwracała uwagę na proponowaną sumę - zaiste, bajeczną! - Diana odrzuciła ofertę. Nawet nie pytała o detale.

Był to kontrakt, o jakim marzą wszystkie modelki, a jaki udaje się podpisać tylko nielicznym, najlepszym. Nic więc dziwnego, że Bea zachodziła w głowę, dlaczego Boska, zawsze posłuszna jej w sprawach organizowania pracy i dochodów, tym razem postawiła swoje weto. Nie mogła oczywiście znać prawdziwej przyczyny. Dla Diany oferta ta była klasycznym przykładem przynęty, przy czym determinacja łowcy, by złapać upatrzoną zwierzynę, posunęła się tu nawet do tego, że firma Carlton Cosmetics przyjmowała do wiadomości jej aktualne zobowiązania i nie żądała wyłączności.

Z powodu swej negatywnej decyzji Diana nie odczuwała żadnych wyrzutów sumienia ani spóźnionych wahań, jakkolwiek sama

oferta wprawiła ją w stan podniecenia. Była sygnałem, że Reece Falcon nie mógł o niej zapomnieć, i że ona, Diana, tkwi w jego sercu jak cień. Wystarczyło więc teraz uzbroić się w cierpliwość i spokojnie czekać na rozwój wypadków.

Mijały dni, a ona, wciąż chciwym wzrokiem przeglądała ogłoszenia prasowe w poszukiwaniu zawiadomienia o zbliżającym się ślubie Falcona z Barbarą. Owszem, ogłoszeń tego typu było mnóstwo, ale żadne nie było tym poszukiwanym. Nasuwały się w związku z tym dwa wytłumaczenia. Albo tamta kobieta poszła po rozum do głowy i rozmyśliła się, albo Falcon wahał się z podjęciem decyzji. Diana skłaniała się ku tej drugiej wersji.

-No i co powiesz, Puddle? - zwracała się od czasu do czasu do swego czworonożnego przyjaciela.

- Ten łotr jakoś nie może ułożyć sobie życia. Zamiast myśleć o ślubie, pewnie się wścieka, że odrzuciłam ofertę.

Puddle odpowiadał już to mruknięciem, już to zmrużeniem oczu albo rozkosznym przeciągnięciem się. W każdym razie zdawał się rozumieć wszystko, do najdrobniejszych szczegółów.

- Wróć do tej sprawy i zaproponuj jej więcej pieniędzy - powiedział ponuro Reece do swego sekretarza.

- Już to zrobiłem - odparł Paul, wzruszając ramionami. - Nadmieniałem wyraźnie, że finansowa strona kontraktu jest do negocjacji, oczywiście w granicach zdrowego rozsądku. Na to jej agentka niedwuznacznie dała do zrozumienia, że nie robi to najmniejszej różnicy. Przyznaję, Reece, że niewiele wiem o tym

światku modelek, ale moim zdaniem nasza propozycja zapłaty już znacznie przekroczyła wartość ewentualnej usługi.

- Masz rację, Paul - uciął chłodno Reece Falcon.

- To zagadnienie jest ci całkowicie obce.

Do jasnej cholery! Co ona w ogóle sobie myśli, odrzucając ofertę Carlton Cosmetics? Nawet nie poprosiła o czas do namysłu, tylko powiedziała swoje „nie” natychmiast, jakby je miała z góry przygotowane, A przecież wchodziły w grę takie pieniądze, że trzeba było prawdziwych bojów, by zaakceptowała je rada nadzorcza.

W ostatnim miesiącu starał się trzymać od Diany jak najdalej. Z Nowego Jorku udał się do Las Vegas, gdzie jak co roku zasiadł do ruletki. Tym razem szczęście mu nie dopisało. Stracił poważną sumę.

Podobnie było na innych polach jego aktywności. Sukcesy w interesach, z których już zdążył zasłynąć i których mu zazdrozczono, zmieniły się wskutek jakiegoś ukrytego fatalizmu w porażki lub żenujące remisy. Co najdziwniejsze, on wcale się tym nie przejmował, jakby rzecz dotyczyła kogoś innego. Również nie wziął sobie do serca, że te wszystkie piękne i eleganckie kobiety, blondynki, rude i brunetki, które od lat uprzyjemniały mu wolny czas, nagle zaczęły przesuwać się przed nim niczym w sennym korowodzie. Żadna nie wzbudzała jego namiętności. Stały się asekualne i podobne do manekinów z wystaw sklepowych.

Za dnia i w ciągu nocy, w samochodzie i za biurkiem, w samotności i w towarzystwie prześladowały go zielone kocie oczy Diany Lamb.

O jednej tylko rzeczy w tym koszmarnym miesiącu wolno mu było powiedzieć, że się udała. Chris pogodził się z Madeleine. Zaczął bywać u niej, a nawet zapraszać ją na różne większe towarzyskie spotkania. Jednak ku wielkiemu rozczarowaniu Reece'a, odmówił wszelkiej odpowiedzi na pytanie, czy zerwał swoje stosunki z modelką. Co prawda, w gazetach nie pojawiały się już zdjęcia ich obojga, ale nie sposób było interpretować tego jako niezbitego dowodu zerwania. Chłopak zapewne rozumiał, że chwiejne zawieszenie broni z Madeleine wymaga szczególnego taktu z jego strony i mógł spotykać się z Dianą przy zachowaniu wszelkich możliwych środków ostrożności. Zdarzało się, że Reece przyłapywał się na pragnieniu uduszenia syna.

Tak czy inaczej miał poczucie, że stracił kontrolę nad swoim życiem. Znał powód tego stanu rzeczy.

Była nim duchowo-zmysłowa obsesja na punkcie Diany Lamb. W końcu doszedł do wniosku, że tylko widzenie się z nią może go od niej uwolnić.

Pewnego dnia, niczym prawdziwy dar niebios, doszła go wiadomość, że Carlton Cosmetics, firma, w której, był poważnym udziałowcem, potrzebuje znanej i pięknej twarzy do zareklamowania nowej serii kosmetyków. Natychmiast pomyślał o Dianie. Oto nadarzała się sposobność widywania się z nią pod całkiem neutralnym pretekstem kontaktów zawodowych. Nie było najmniejszych problemów z dowiedzeniem się, że nie wiąże jej żaden inny kontrakt tego typu i na podobną skalę. Kiedy zaś zaproponował na zebraniu

zarządu firmy swoją kandydatkę, przyjęta została jednogłośnie, a nawet wręcz entuzjastycznie.

Jedynym głosem sprzeciwu okazał się głos samej Diany, Lamb!

Otrzymałszy od Paula wiadomość o jej odmowie, Reece wpadł we wściekłość. Wiedział, że ośmiesza się przed sekretarzem, proponując zwiększenie sumy, ale dawno już przestał myśleć w kategoriach rachunku ekonomicznego. Stracił orientację, a wraz z nią pewność, jakie powinno być następne posunięcie. Znajdował się w stanie kompletnej rozterki. To go jeszcze bardziej rozwścieczyło.

Gwałtownie wstał z fotela.

- Biorę to na siebie, Paul. I tylko nie dopatruj się w tym krytyki twoich starań. Po prostu kiedyś poznałem tę panią osobiście. Może da mi to większą siłę przebicia. W każdym razie bezpośredni kontakt na pewno coś wyjaśni.

Przede wszystkim ciekaw był jednej rzeczy, a mianowicie, czy Diana Lamb odrzucając propozycję wiedziała, kto kryje się za firmą Carlton Cosmetics? Czy jej odmowę podyktowały względy osobiste, czy też jakieś obiektywne uwarunkowania?

Na przyniesioną przez Beę wiadomość, że zarząd Carlton Cosmetics zaprasza ją na rozmowę, Diana pozostała głucha i obojętna. Stanowiło to bowiem kolejny dowód, że Falcon nie zrezygnował z zastawiania sieci. Nie miała zamiaru przyjmować żadnych jego warunków, choćby i najbardziej wspaniałomyślnych. Zamierzała natomiast w najbliższej przyszłości sama postawić mu warunki.

Agentka jednak uparcie nalegała, argumentując, że zgoda na tego rodzaju spotkanie nie może być w żadnym sensie zobowiązująca, i Diana w końcu uległa. Chciała przekonać się na własne oczy, czy Falcon będzie miał śmiałość pojawić się za stołem i przyznać się tym samym, że to on nakreślił całą sprawę i nadal jej patronuje.

Na rozmowę udała się sama. Wytłumaczyła agentce, że do żadnych wiążących ustaleń na pewno nie dojdzie, a więc obecność jej będzie zbędna.

Biuro zarządu mieściło się na ostatnim piętrze wielokondygnacyjnego budynku. Na tle przydymionego różu grubej wykładziny stały ultranowoczesne białe meble.

Uśmiechnięta sekretarka powiadomiła Dianę, że Babs Carlton oczekuje jej w swoim gabinecie. Było to dla Diany prawdziwą niespodzianką. Ta kobieta stanowiła od dawna symbol sukcesu i weszła już niemal do podręczników ekonomii. Odziedziczyła po mężu kulejące przedsiębiorstwo i w przeciągu siedmiu lat zmieniła je w potentata na rynku kosmetycznym. Unikając życia towarzyskiego, Diana nie miała dotąd okazji zetknięcia się z nią, lecz docierały do niej różne pochwalne hymny na cześć Babs. Reece Falcon musiał być bardzo przyciśnięty do muru, skoro zdecydował się włączyć tę zajętą kobietę do swoich rozgrywek.

Okazało się jednak, że Diana, nie wiedząc o tym, znała Babs Carlton. Kiedy bowiem poprzedzana przez sekretarkę weszła do gabinetu, zza ogromnego szklanego biurka powstała... Barbara! Ta

sama rudowłosa piękna Barbara, która była na pokazie mody w Paryżu i którą Falcon zamierzał poślubić.

Wszystko ułożyło się nagle w sensowną całość. Falcon przed laty zainwestował w uzdrowienie przedsiębiorstwa znaczną sumę pieniędzy i teraz zamierzał zabezpieczyć pomnożony kapitał, żeniąc się z posiadaczką głównego pakietu akcji. Należałoby dodać: zabezpieczyć podwójnie, gdyż ślubowi rodziców miał towarzyszyć ślub dzieci - Chrisa Falcona i Madeleine Carlton. Co za cynizm!

Babs Carlton wyszła zza biurka na środek pokoju i wyciągnęła rękę. Przywitały się. Diana wciąż nie doszła do siebie po szoku, jaki przeżyła.

- Pani uroda jeszcze zyskuje w bezpośrednim kontakcie. Widywałam panią dotąd jedynie na pokazach - powiedziała Barbara z wielkoduszną uprzejmością, wielkoduszną, gdyż musiała przecież wiedzieć, iż zwraca się do konkurentki swej córki, jeśli chodzi o serce Chrisa.

Falcon, okazywało się, był prawdziwym magiem, skoro udało mu się skłonić swoją przyszłą żonę do zaoferowania jej, Dianie, tak prestiżowego kontraktu.

- Bardzo dziękuję - odparła, siadając na wskazanym jej krześle.

Założyła nogę na nogę. Była przez chwilę samymi tylko nogami.

Ubrała się na to spotkanie w krótką, bardzo efektowną sukienkę z myślą o Falconie. Gdy jednak Babs zajęła z powrotem miejsce za biurkiem, stało się oczywiste, że rozmowa będzie się toczyć między nimi dwiema. Czyżby więc pomyliła się, sądząc, że Falcon pociąga tu

za wszystkie sznureczki? Może nie był aż tak wszechwładny? Może to sama Babs Carlton, widząc ją w Paryżu lub gdziekolwiek indziej, uznała, że takiej właśnie potrzebuje dziewczyny do promowania nowych produktów?

- Być może powinnam udzielić pani dokładniejszych informacji o nowej serii kosmetyków, jakie zamierzamy wypuścić na rynek tej zimy? - zapytała Babs, rzeczowo przechodząc do meritum sprawy.

Miała na sobie żółty kostium z czarnymi klapami, mankietami i guzikami. Bogatą, jesienną czerwień jej włosów trzymały na uwieczni szylkretowe grzebyki.

- Nie sądzę, aby to było nieodzowne - odparła Diana. Posiadała już niemal całkowitą pewność, że Falcon nie ma z tym wszystkim nic wspólnego i podjęła decyzję o skróceniu rozmowy do minimum. - Jedną z zasad, którymi kieruję się w swym życiu zawodowym, jest bezwzględne unikanie reklamowania kosmetyków.

Babs Carlton w milczeniu kiwnęła głową. Nie wydawała się zaskoczona odpowiedzią Diany.

- Tak się złożyło, że sama sformułowała pani przed chwilą powód, dla którego pragnęlibyśmy zawrzeć z panią umowę. Znane jest nam pani krytyczne stanowisko odnośnie eksperymentów na zwierzętach przy produkcji kosmetyków. Wspomniana przez panią zasada tu właśnie, jak sądzę, ma swoje źródła. Otóż nowa seria, którą zamierzamy uczynić światowym przebojem, wyprodukowana została przy pełnej kontroli i akceptacji ze strony wszystkich instytucji i organizacji zajmujących się opieką nad zwierzętami.

Ostatnie zdanie Babs powiedziała niemal triumfalnym tonem. I w zasadzie wszystko tłumaczyło ów ton.

Diana znalazła się w pułapce. Podejrzewała, że tylko Falcon mógł coś takiego wymyślić. Gdyby teraz odmówiła, odebrane zostałyby to z jednej strony jako dość zagadkowe uprzedzenie do firmy Carlton Cosmetics, z drugiej zaś jako niekonsekwencja przekonań. Od dawna już walczyła z tymi, którzy pod pretekstem upiększania ludzi zadawali cierpienia niewinnym zwierzętom, nie mogła więc teraz nie poprzeć swoich sojuszników w tej walce. Tak, Reece Falcon sprytnie to sobie wykoncypował!

- W takim razie gotowa jestem poznać te bliższe szczegóły, o których pani wspomniała.

- Oczywiście. Spodziewałam się zresztą takiej pani decyzji - odparła Barbara przyjacielskim tonem. - Więc może zrobimy tak: porozmawia teraz pani z pracownikami, zajmującymi się bezpośrednio produkcją, a potem spotkamy się ponownie i zjemy wspólnie lunch. Czy ta propozycja odpowiada pani?

- Jak najbardziej.

Następna godzina należała do najciekawszych w jej dotychczasowym życiu. Nigdy jeszcze nie była w hali produkcyjnej i nie widziała samego procesu wytwarzania. Jak większość konsumentów miała do czynienia wyłącznie z gotowymi wyrobami. Przekonała się, że Babs Carlton nie okłamała jej, mówiąc o normach ekologicznych, jakim miała sprostać nowa seria.

Wracała do biura zarządu z poczuciem, że prędko nie wyplącze się z tej sieci, którą właśnie na nią zarzucono.

Jakież było jej zaskoczenie, gdy otworzywszy drzwi do gabinetu, zamiast Barbary ujrzała za szklanym biurkiem Reece'a Falcona! A więc wreszcie zdobył się na odwagę odsłonięcia twarzy!

Wstał i uczynił zapraszający gest ręką.

- Ależ proszę nie stać w drzwiach i wejść do środka - powiedział. - Nie gryzę.

Czuła równocześnie satysfakcję, że jej podejrzenia znalazły niezbite potwierdzenie, jak i rozczarowanie, że Falcon był powiązany z czymś, co zaczynało się jej podobać.

Nie zmienił się przez ten miesiąc. Był może tylko trochę bardziej opalony i poprzez kontrast z brązową twarzą jego stalowoszare oczy bardziej błyszcząły.

- Nie boję się ugryzienia, tylko po prostu widzę, że nie ma osoby, z którą byłam umówiona - odparła, śmiało krzyżując z nim spojrzenie.

- Jeśli więc byłby pan łaskaw podziękować w moim imieniu pani Carlton za...

- Uparciuch z pani. - Przemierzył pokój długimi krokami i zamknął za nią drzwi. - Jest pani najbardziej upartą, najbardziej irytującą i najbardziej godną pożądania kobietą, jaką kiedykolwiek miałem szczęście spotkać w swoim życiu.

Nim jeszcze przebrzmiało ostatnie jego słowo, poczuła, że obejmuje ją i dotyka ustami jej ust.

Zesztywniała. Wszystko w niej krzyczało, aby go odepchnąć, a potem wyjąć chusteczkę i obetrzeć wargi. Nie takie jednak zachowanie uwzględniła w swoich planach.

Stała więc sztywna, obojętna, zimna i bezwolna. On domagał się dialogu, ona skazywała go na upokarzający monolog.

Nie przewidziała jednak, że pod dotknięciem jego warg i rąk jej ciało ożyje. Dokonało się to poza jej wolą. Zmiana na zewnątrz była niewidoczna, ale ona czuła ją wyraźnie. Co najdziwniejsze i zarazem niezmiernie irytujące, spowodował to człowiek, którego nienawdziła. Ale ten człowiek promieniował w tej chwili żarem, namiętnością, męską zmysłowością. Był niczym zapalona zapałka, którą dotknięto do suchej słomy. Diana wiedziała, że nie może dopuścić do rozprzestrzenienia się ognia. Nie wiedziała tylko, jak ma tego dokonać.

Wybawił ją sam Reece Falcon.

- A może prosto stąd pojedziemy do twojego mieszkania? - zapytał, odrywając usta. - Jeżeli nie, to przynajmniej zamknę drzwi na klucz.

Mimo wszystko był tylko zabawnym samcem.

- Ten gabinet, gabinet Barbary Carlton, nie wydaje się odpowiednim do tego miejscem - powiedziała z chłodną obojętnością, przypominając sobie, że najlepszą formą obrony jest atak.

Na jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień.

- Dlatego właśnie proponuję, abyśmy przenieśli się gdzie indziej.

- Nie to miałam na myśli. Jako pańska narzeczona, pani Carlton jest bez wątpienia...

- Jako kto? - przerwał jej z wyrazem bezmiernego zdumienia na twarzy.

Zdumienie to wydawało się tak autentyczne, tak dalekie od wszelkiego udawania, że w jednej chwili przestała być pewna-czegokolwiek.

Oczywiście bardzo dobrze pamiętała, że Falcon zamawiał w Paryżu u Charlesa prezentowaną dopiero co przez nią suknię ślubną. Ale czy wspomniał coś o tym, że zamawia ją dla swoje j narzeczonej? - tego już w żaden sposób teraz nie mogła rozstrzygnąć. Mógł mówić wówczas ogólnie o jakiejś pannie młodej, ona zaś skojarzyła ją sobie z kobietą, z którą siedział na widowni podczas pokazu.

Reece spoglądał na Dianę w krańcowym zdumieniu. Barbara jego narzeczoną! To po prostu nie mieściło się w głowie.

Barbara była piękną kobietą i pięć lat temu, kiedy spotkali się po raz pierwszy, dał nie jeden dowód, że jako mężczyzna docenia Jej urodę. Ale oboje wiedzieli, co czynią i czego oczekują nawzajem od siebie. Przytłoczona śmiercią męża, jak również wszystkimi tymi zadaniami, wobec których śmierć ta ją postawiła, Barbara oczekiwała od Reece'a raczej wymiernej, materialnej pomocy. Jemu zaś bardzo to odpowiadało, gdyż z góry ich romansowi zakreślił pewne granice i nie zamierzał przeżywać jakichś gwałtowniejszych uczuć.

Ślub nigdy nie wchodził w rachubę. Nie poświęcił mu ani jednej myśli i mógłby założyć się o cały swój majątek, że również Barbara nie oddawała się nigdy tego rodzaju rojeniom.

Od lat byli przyjaciółmi i wspólnikami w biznesie. Znali się i ufali sobie. Mieli wyrozumiałość dla swoich słabości. Kiedy więc zaproponował Dianę do akcji reklamowej, pełen przyjacielskiej pobłażliwości uśmiech Barbary powiedział mu mniej więcej, że jeśli chce wstąpić w ślady syna, to wolna droga, ona gotowa mu jeszcze przyklasnąć.

Należało przypuszczać, że uśmiech ten, odsłaniając tak wiele, również coś skrywał, a mianowicie obawę Barbary przed Dianą, która zdążyła już zagrozić małżeństwu jej córki z Chrisem. Ale do swoich obaw Barbara nigdy by się otwarcie nie przyznała.

- Jako pańska narzeczona - powtórzyła Diana, ale tym razem dużo mniej pewnym tonem.

Potrząsnął głową. Zaczynał wreszcie rozumieć pogardę malującą się w jej oczach. Ta dziewczyna przez cały czas myślała, że jest zaręczony z kobietą, która miała zostać teściową jego syna!

Tłumaczyło to aż nadto jej niechęć i rezerwę. Lecz dzięki Bogu mógł za chwilę wszystko wyjaśnić i sprostować.

- Barbara jest moją przyjaciółką. Łączą nas również wspólne interesy. Jest także matką Madeleine, i właśnie na prośbę jej córki wybraliśmy się we trójkę do Paryża. Madeleine bardzo chciała panią zobaczyć. Nie dziwny się, że była ciekawa kobiety, z którą zdradza ją

jej narzeczony. Można co najwyżej dziwić się temu, że zapragnęła właśnie tej sukni, którą pani prezentowała. Ale cóż, kobiety!

- Czyżby Madeleine...?

- Tak, była ze mną tamtego wieczoru. Siedziałem podczas pokazu pomiędzy nią a jej matką.

Po twarzy Diany przemknął błysk olśnienia.

- Czy Madeleine ma jasne włosy? Wzruszył ramionami.

- Tak, jest blondynką. To ona właśnie uparła się na tę suknię z kolekcji Oxleya - rzekł z naciskiem w głosie. - Myślała o swoim ślubie z Chrisem.

Wiedział już, że nawet gdyby nie było Madeleine w życiu Chrisa, nie pozwoliłby nigdy na ślub swojego syna z Dianą. Spędziłby bowiem resztę swoich dni, pożądając własnej synowej.

Pragnął zaś Diany coraz bardziej i bardziej. O ile pierwsze z nią spotkanie w Paryżu pozostawiło w nim wspomnienie odurzenia erotycznego, o tyle teraz był we władaniu dzikiego pożądania. Musiała być jego!

A zatem ta jasna główka po lewej ręce Falcona, którą zauważyła tylko kątem oka i którą pamiętała jak przez mgłę, była główką Madeleine, córki Babs Carlton i narzeczonej Chrisa! Nic więc dziwnego, że słysząc o jej, Diany, stosunkach z Chrisem, zapragnęła tej właśnie sukni. Oznaczało to jednak, że Reece nie zamierzał ożenić się z Barbarą. Fakt ten w dotychczasowy porządek rzeczy wprowadzał spore zamieszanie. Wszystko nagle nabrało innego znaczenia.

- Wygląda na to, że się pomyliłam - przyznała, lekko schylając głowę.

- W takim razie...? - Nie dokończył pytania, ale sens tych początkowych słów był oczywisty.

Uśmiechnęła się.

- W takim razie wszystko inne pozostaje po staremu. Nadal nie mam ochoty, po opuszczeniu tego gabinetu, wybierać się z panem gdziekolwiek.

Machnął ręką, jakby spodziewał się takiej odpowiedzi.

- Nawet na lunch?

- Nie chciałabym zabierać panu czasu...

- Czas nie ma tu nic do rzeczy.

Mina, ton głosu, błyski w oczach - wszystko upodabniało go w tej chwili do tokującego głuszca.

Głuszcza wyjątkowo przystojnego, przyznała w duchu Diana, mierząc go niezmiennie zimnym spojrzeniem.

- Mam nadzieję, że ta nowa seria kosmetyków odniesie prawdziwy sukces.

- Ale oczywiście nie ma pani zamiaru przyczynić się do tego sukcesu?

- Namyśle się jeszcze - odparła i skierowała się ku drzwiom.

Dopadł ją, kiedy kładła już dłoń na klamce. Jego twarz wykrzywiona była wściekłością.

- Nie odwracaj się do mnie plecami! Syknęła. Wyrwała rękę z imadła jego palców.

- A jak mam wyjść? Cofając się i bijąc pokłony jak w dawnych epokach? Czy właśnie tego oczekujesz, Reece, po swoich pracownikach? Bo jeśli tak, to na pewno odrzucę ofertę Carlton Cosmetics.

Przeszli na ty całkowicie poza swoją świadomością i intencją.

-Diano, czego ty właściwie chcesz ode mnie? - Ton jego głosu wahał się pomiędzy gniewem a błaganiem.

- Czego chcę? - Było jeszcze zbyt wcześnie, aby szczerze odpowiedzieć mu na to pytanie. - Absolutnie niczego.

Przez chwilę wydawało się, że ją uderzy. -Wynoś się stąd! Zanim zrobię coś, czego będę żałował.

Poczuła ogromny chłód w sercu.

- A czy w przeszłości zrobiłeś już coś takiego, czego dzisiaj żałujesz?

-Tak, żałuję, że w ogóle cię spotkałem! - wykrzyknął.

Chwilę jeszcze spoglądała na niego, a potem z nieodgadnionym uśmiechem na wargach opuściła gabinet.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Co się stało? Wyglądasz, jakbyś miał dzisiaj atak wrzodowy - powiedział Chris, wchodząc do komfortowego apartamentu ojca.

Przeszli do salonu.

-Dzięki za szczerość - rzekł Reece, wskazując synowi fotel. - Mimo to żyję i mam się jako tako.

Chris usiadł, ale jego długie nogi nie chciały się uspokoić. Płąsały jeszcze chwilę, by wreszcie zastygnąć w kształcie litery V.

- Lepiej spojrzysz w lustro. Powie ci to samo, co ode mnie usłyszałeś. Ale wzięwszy pod uwagę twój dwudniowy zarost, ostatnio zbyt często nie przypatrywałeś się sobie. Wracam więc do mojego poprzedniego pytania: co się stało?

Syn oczywiście miał rację. Reece dobrze wiedział, że wygląda jak człowiek ciężko chory. Stracił na wadze, miał worki i cienie pod oczami, a jego skóra nabrała barwy pergaminu. Ale czy mógł wyglądać inaczej po tym straszliwym tygodniu?

- Absolutnie nic - odparł, zatwardziały w kłamstwie.

Chris nie wydawał się zadowolony z tej odpowiedzi. Miał minę lekarza, który właśnie odkrył, że pacjent nie stosuje się do jego zaleceń.

- Więc skończ tym „niczym” natychmiast, zanim to nie skończy z tobą.

Nie wiadomo było, czy Chris, mówiąc tak, miał coś konkretnego na myśli, lecz jego ojciec, słuchając, oczywiście, miał. Tym „niczym”, ma się rozumieć, była Diana.

Reece widział ją po raz ostatni w gabinecie prezesa zarządu firmy Carlton Cosmetics. Pożegnała go w sposób, który nie pozostawiał żadnych wątpliwości, że nie chce mieć z nim więcej do czynienia. Wówczas Reece podjął decyzję o wzięciu tygodniowego urlopu. Musiał wycofać się do swojego mieszkania, by zaryglować drzwi przed światem i wyłączyć telefon, uładzić się z samym sobą i wziąć się w garść. Miał zamiar sięgnąć po książki, które już od dawna gromadził na półce, i obejrzeć filmy, które ostatnio zakupił. A wszystko to wyłącznie w celu oderwania myśli od Diany i skupienia ich na czymś innym. Stało się jednak inaczej. Po tygodniu spędzonym w dobrowolnej izolacji czuł się jak szaleniec, którego wtłoczono w kaftan bezpieczeństwa. Nie zagrażał wprawdzie otoczeniu, ale jego obsesja na punkcie Diany jeszcze przybrała na sile. W ostatnich dniach miotał się w czterech ścianach swojego mieszkania niczym zwierzę w klatce.

- Zdumiewa mnie twoja troskliwość, synu - rzucił z ironicznym uśmiechem,

- Czy wolałbyś, żebym skłamał i powiedział ci, jak wspaniale wyglądasz?

- Wolałbym, żebyś tu w ogóle nie przychodził. A zresztą wszystko jedno! - Opadł na fotel naprzeciwko Chrisa. Miał na sobie

luźne bawełniane spodnie i rozpiętą na piersiach koszulę. - Co cię tu sprowadziło, Chris?

- Tajemnica. Otóż od tygodnia nikt cię nie widział na oczy. Przepadłeś jak kamień w wodę. Pomyślałem więc, że lepiej zajdę i sprawdzę, czy jeszcze żyjesz.

- No to szedłeś z szybkością żółwia. Gdyby naprawdę coś mi się przydarzyło, odnalazłbyś ciało w stanie kompletnego rozkładu,

Reece powiedział to żartobliwym tonem, ale przebijała w nim nutka autentycznego bólu.

- Dopiero wczoraj dowiedziałem się, że nie pojawiaasz się w biurze.

- Wynika stąd, że ty również nie przychodziłeś do pracy?

Chris wzruszył ramionami. Był jak najdalszy od wyrażania skruchy.

-Z faktu, że jest się synem bossa, wypływają przecież jakieś przywileje. Wziąłem po prostu tydzień wolnego, by spędzić ten czas z Maddy.

-I jak tam między wami? - zapytał Reece, mrużąc oczy na sposób sędziego śledczego.

Chris wprawdzie wydawał się być w szampańskim nastroju, ale powodem tego mogła być równie dobrze Madeleine, jak Diana!

- Całkiem dobrze. Gdy powiedziałem Maddy, że zdobyłeś się wreszcie na bezprecedensową decyzję tygodniowego urlopu i zarazem zniknąłeś bez słowa, zgodziła się ze mną, że musi wchodzić tu w grę choroba. Postanowiliśmy więc...

- Bardzo zabawne, synu -. przerwał mu Reece z ciężkim westchnieniem, znużony tą całą grą. - Wziąłem tydzień urlopu, gdyż potrzebowałem..

- Chwili oddechu, której nie miałeś od lat - dokończył za niego Chris. - Tylko skąd u ciebie ta nagła potrzeba?

- Lepiej powiedz, co ty i Maddy postanowiliście - rzekł Reece, puszczając pytanie syna mimo uszu.

Chris przez chwilę wpatrywał się w ojca. Widocznie jednak nie znalazł w jego twarzy tego, czego oczekiwał, gdyż tylko wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

-Postanowiliśmy ulitować się nad staruszką i zaprosić go dzisiaj na przyjęcie. Rzecz jasna, mówię o tobie.

Reece mimowolnie uśmiechnął się. Chris był bez wątpienia najbardziej nieznośnym z synów. Nie miał prawa przychodzić tutaj i rozbawiać go w momencie, kiedy on właśnie pogrążał się w rozpacz! Nie miał prawa leczyć go wbrew jego woli.

Widząc, że pacjent jak gdyby zaczyna powracać do zdrowia, Chris zmienił ułożenie nóg i pochylił się do przodu.

- No i jak? Wybierzesz się z nami? Barbara luźno obiecała, że jeśli czas jej pozwoli, dołączy do nas.

Dlaczego nie, pomyślał Reece. Być może właśnie powinien wyrwać się z tego więzienia i spędzić kilka godzin z ludźmi, w których towarzystwie czuł się najlepiej i którzy, co najważniejsze, chcieli mieć go przy sobie. Diana nie chciała. Dla Diany mógłby nie istnieć. Przeklęta dziewczyna!

-W porządku. Złapałeś mnie na wędkę, Chris. Staruszek przyjmuje wasze zaproszenie.

Kiedy kilka godzin później zjawił się na przyjęciu, pierwszą osobą, którą dostrzegł, okazała się Diana. Nie była sama!

Poczuła jego spojrzenie i odnalazła go swymi zielonymi oczami. Przez chwilę patrzyli na siebie ponad głowami innych.

Tego rodzaju przyjęcia, hałaśliwe z racji muzyki i wulgarne przez wzgląd na tematy, jakie zaproszeni goście poruszali w rozmowie, interesując się wyłącznie tym, kto kogo zdradził, kto co kupił i kto gdzie wyjechał na wypoczynek, należały do imprez, którymi Diana wręcz się brzydziła. Tym razem przyszła tu wyłącznie na prośbę Charlesa. Oxleyowi bowiem bardzo zależało na tym, aby zaprezentowała jego najnowszą kreację. Była tu więc w ramach swoich obowiązków zawodowych.

To właśnie ta niezwykła suknia, czerwona u góry stanika, a potem coraz jaśniejsza aż do pomarańczowego rąbka spódnicy, sprawiła, że Reece dostrzegł Dianę natychmiast, będąc jeszcze w drzwiach. Przeprosił Chrisa i Maddy, którzy przyszli tu razem z nim, i ruszył w kierunku modelki. Gdy lawirując między gośćmi dotarł wreszcie do niej, jego twarz nie wyrażała radości. Przeciwnie, zasnuwała ją gradowa chmura gniewu.

-Czy Oxleya i ciebie coś łączy? - zadał pytanie, którego najmniej się spodziewała.

Zdołała opanować zdumienie.

-Tak, łączy nas wzajemny szacunek dla profesjonalizmu partnera
- odparła zimno, rzucając krótkie Spojrzenie w kierunku Charlesa, pogrążonego w tej chwili w rozmowie z jakąś potencjalną klientką.

- A poza tym? - nalegał, nie zdając sobie sprawy, że zaczyna być śmieszny.

-Lubię dla niego pracować. Dobrze się czuję w jego sukienkach. Ta, w której mnie widzisz, jest również na pokaz i do sprzedania.

Musiała tak odpowiadać, musiała od czasu do czasu dodawać do octu łyżeczkę Cukru, jeżeli chciała osiągnąć zamierzony cel.

- Doprawdy? - Zadał to pytanie jedynie po to, aby zamaskować nim własną niepewność.

- Zaufaj mi - odparła, pozwalając sobie na uśmiech. - Czy to Maddy stoi tam z Chrisem?

Podążył oczami za jej spojrzeniem.

-Tak. Stosunki między nimi poprawiły się, więc trzymaj się od nich z daleka! - rzekł ostrzegawczym tonem.

A więc Chris nie powiedział mu, pomyślała Diana. Nadal odgrywał się na ojcu za jego ingerencję w ich związek.

Uśmiechnęła się. Reece zauważył, że szminka, którą miała pomalowane usta, harmonizuje kolorem z górą jej sukienki.

- Nie mogę udawać, że ja i Chris się nie znamy. Jest tu wiele osób, które słyszały co nieco o naszej przyjaźni.

- Nie mówię, żebyś traktowała go jak obcego. Rzecz w tym, żebyś nie kokietowała go na oczach Maddy.

Diana uważniej spojrzała na dziewczynę. Madeleine była młodą i, wydawało się, bardzo opanowaną osobką. Wysoka, szczupła, jasna, nosiła swoją czarną sukienkę z młodzieńczym wdziękiem. W ogóle sporo w niej było dziewczęcości, która nie przełamała się jeszcze w kobiecość. Proste, sięgające ramion włosy podkreślały jeszcze ten jej niewinny wygląd licealistki, licealistki, która jednak mimo całej swej niewinności nie wydawała się bezbronna.

Reece, oczywiście, mógł troszczyć się o tę dziewczynę, jednak Diana była przeświadczona, że chodzi mu przede wszystkim o samego siebie.

- Maddy stwarza wrażenie dziewczyny, która sama potrafi się obronić - powiedziała, przenosząc wzrok na swego towarzysza.

Teraz dopiero zauważyła zmiany, jakie przez ten ostatni tydzień zaszły na jego twarzy. Była to twarz człowieka postarzałego o dobrych kilka lat. Czy z jej powodu? Miała nadzieję, że tak.

- Jestem tego samego zdania - zgodził się Reece. - Czy napijesz się czegoś? - zapytał, zatrzymując gestem przechodzącego kelnera.

W kieliszkach, które ten niósł na tacy, musował i perlił się szampan.

- Chętnie - odpowiedziała, chwytając kątem oka błysk triumfu na twarzy Falcona.

Tak, łyżeczka cukru była teraz jak najbardziej wskazana.

Sięgnęli po kieliszki i sącząc chłodne wino, przesunęli się bliżej ściany. Tam, trochę na uboczu, Chris flirtował z Madeleine, a czynił to chyba z dużą wprawą, gdyż twarz dziewczyny zdawała się być

rozświetlona od wewnątrz. Spotkanie stało się nieuchronne. I oto okazało się, iż w ten flirt z narzeczoną Chris nie wkładał bynajmniej całej swojej duszy. Kiedy bowiem Diana i Reece zbliżyli się, uściskał Boską i pocałował tak czule, jak gdyby byli w tym salonie sami. Ona zaś, powodowana chwilowym kaprysem, nie ograniczyła w niczym jego swobody, pamiętając, iż od czasu do czasu Reece musi wypić też trochę octu. Co zaś się tyczy Madeleine...

- Tak się składa, że nie zaliczam się do zazdrośnic - skomentowała Maddy ich pocałunek.

Diana spojrzała na dziewczynę z niekłamanym zaciekawieniem. Mimo że pastelowa i delikatna, podczas gdy u jej matki przeważały kolory żywe i zdecydowane, była bez wątpienia podobna do Babs Carlton. Łączyły je nie tyle określone cechy fizyczne, co wyczuwalna w aurze obu postaci inteligencja i mądrość. Reakcja na przywitanie Chrisa i Diany stanowiła tego znamienne potwierdzenie. Większość kobiet w takiej sytuacji zachowywałaby się nieobliczalnie i histerycznie, tymczasem Madeleine spokojnie sobie czekała, aż obłąpanki dobiegną kresu. Być może wiedziała, że ma do zaoferowania coś więcej niż tylko piękną twarz. A może była pewna czegoś, czego nawet nie uświadamiał sobie Chris: jego i swojej miłości.

- Tym lepiej - odparła Diana.

Sensu słowom dodało jej spojrzenie. Powiedziało, że wypożyczyła Chrisa tylko na krótki czas i że Maddy nie musi się martwić. Maddy zaś w odpowiedzi milcząco zapewniła, że aczkolwiek trochę się bała, teraz jest całkiem spokojna, a nawet kocha

Chrisa bardziej po jego błędzie i skruszce. W końcu też obie młode kobiety wyraziły spojrzeniami nadzieję, że może pewnego dnia zostaną przyjaciółkami.

Reece zauważył tę wymianę spojrzeń i nie posiadał się ze zdumienia. Czyżby ta zielonooka piękność, gdziekolwiek się pojawiła, obezwładniała wszystkich swym czarem?

Nawet Barbara, doświadczona i cokolwiek cyniczna Barbara, znalazła się pod urokiem Boskiej, mimo że dobrze wiedziała o jej związku z Chrisem i słusznie interpretowała ów związek jako zagrożenie dla szczęścia swej ukochanej córki. Toteż kiedy Reece oznajmił jej, że modelka nie weźmie udziału w ich reklamowej kampanii, była autentycznie zasmucona i rozczarowana.

Co było w tej dziewczynie, że inni krążyli wokół niej niczym planety wokół Słońca?

Gdyby znał odpowiedź na to pytanie, być może jego noce przestałyby być bezsennymi koszmarami. Wiedział jedynie, że nie chodziło tu tylko o wybitną urodę Diany. Piękność zazwyczaj ustanawiała dystans. Tutaj przeciwnie. Tutaj piękność miała władzę przyciągania i zniewalania.

Chris nie mógł zaliczać się do wyjątków. Lecz na zniewolenie syna Reece w żadnym wypadku nie mógł przystać. Musiał jak najszybciej ożenić go z Maddy. Na razie jednak czuł się wytracony z równowagi sceną pocałunku i uznał, że najlepiej będzie, jeśli dla uniknięcia kłótni wycofa się pod jakimś pretekstem na stronę.

- Nie miałem jeszcze okazji przywitać się z gospodynią.

Opuszczam więc was na chwilę.

Powiedziawszy to, odszedł, a właściwie zrejterował. Zrejterował po raz pierwszy w życiu.

Odkąd poznał Dianę Lamb, tych „pierwszych razów” zdarzyło mu się zresztą sporo!

-Miałeś rację co do ojca, Chris - powiedziała Maddy, patrząc za oddalającym się Falconem. - Zmienił się nie do poznania.

Chris kiwnął głową i spojrzał na Dianę. Było jasne, że jest świadomy jej roli w tym wszystkim.

- Czy twój ojciec chorował? - zapytała z miną niewiniątka.

- Raczej... przeobrażał swój charakter. To również może odbywać się w bólach i gorączce.

Ta diagnoza nie przekonała jej. Reece Falcon nadal pozostawał sobą, aroganckim i bezwzględny człowiekiem, który wydaje rozkazy i żąda, by inni podporządkowali się jego woli. Niemniej uwaga Chrisa sama w sobie wydawała się interesująca.

- Słyszałam, że mężczyźni w jego wieku przeżywają tego typu metamorfozy.

- Mężczyźni w jego wieku? - powtórzyła Maddy głosem pełnym szczerego zdumienia.

Diana zamierzała brnąć dalej w swojej prowokacji.

-Tak. Myślę tu o kryzysie, przez jaki przechodzą około czterdziestki. Dotknięty tą przypadłością mężczyzna bywa prawdziwym utrapieniem dla rodziny.

Chris i Maddy spoglądali na nią, nie za bardzo rozumiejąc, co tu właściwie jest grane. Wystarczyło jednak, że uniosła brwi w charakterystyczny sposób, by natychmiast wybuchnęli zgodnym śmiechem. Diana również się śmiała. Myśl, że oto bawią się kosztem Falcona, sprawiała jej dodatkową przyjemność.

- Przypadłość czterdziestolatków! Przyznaję, że nigdy o czymś takim nie słyszałam - powiedziała Maddy, ciągle chichocząc. - Przyznaję też, że niewydolności związane z tym wiekiem mniej mi pasują do Reece'a niż do jakiegokolwiek innego mężczyzny.

- Spoważniała i zmarszczyła czoło. - Przyczyna jego przygnębienia musi być całkiem inną.

- Jakaś osoba na przykład - podsunął Chris, jednak Maddy nie poświęciła jego podpowiedzi najmniejszej uwagi.

- Prawdopodobnie ma to coś wspólnego z pracą.

- Przeniosła wzrok na Dianę. - Mama powiedziała mi, że odrzuciłaś propozycję podpisania kontraktu z Carlton Cosmetics. Mam nadzieję, że w swojej decyzji nie brałaś pod uwagę faktu, że Chris i ja...

- W najmniejszym stopniu - odparła Diana, pełna podziwu dla opanowania i stylu Maddy Carlton. I ten durny Chris chciał po prostu porzucić ją! - Rzecz w tym, że nie reklamuję kosmetyków.

Maddy wydawała się zaskoczona tą odpowiedzią.

- Sądziłam, że wszystkie liczące się modelki to robią, wiedząc, że taka reklama ugruntowuje ich pozycję i sławę. A poza tym nie bez znaczenia są też duże pieniądze, jakie wchodzą tu w grę.

- Diana uważa, że są ważniejsze rzeczy w życiu od pieniędzy.

Na dźwięk tego głosu, który kipiał znaną jej dobrze ironią, Diana odwróciła się. Za nią stał Reece Falcon i wykrzywił wargi w ponurym uśmiechu. Odsunęła się na bok, by zrobić mu miejsce. Nie ulegało dla niej wątpliwości, że Reece nie wierzy w intencje, które właśnie przypisał jej postępowaniu.

- Gdybym tak nie uważała, to pod wspomnianym kontraktem już widniałby mój podpis.

- Być może. - Wzruszył ramionami. - Choć nie należy również wykluczyć, że rozważasz w tej chwili bardziej lukratywną propozycję.

Spojrzała nań z politowaniem. Dla Reece'a pieniądze i władza, jaką dają, były największą wartością. Dla pomnożenia tej wartości gotów byłby w razie potrzeby nawet zaryzykować życie. Nie rozumiał, że ktoś inny w swoich wyborach mógł kierować się innymi kryteriami, odwoływać się do pewnych zasad.

- Nawet gdybym rozważała jakąś propozycję, co zdajesz się traktować jako pewnik, to bynajmniej nie musiałyby być ona bardziej lukratywna - odparła spokojnie.

Wykrzywił drwiąco usta,

- Za to na pewno musiałyby pasować do twojego wyobrażenia o tym, co słuszne i godne zaakceptowania.

- Mylisz się, Reece. Nowej serii kosmetyków firmy Carlton Cosmetics nie mogę niczego zarzucić.

Tego było mu już za wiele. Poczzerwieniał na twarzy.

- Więc o co, do diaska, tu chodzi?

- Chodzi po prostu o to, Reece - ciągnęła wciąż tym samym spokojnym i opanowanym głosem - iż jeśli w coś wchodzę, to chcę mieć jasny obraz sytuacji. Tu natomiast długo nie wiedziałam, że to ty kryjesz się w cieniu tego kontraktu.

Chris otworzył szeroko oczy. Nic nie wiedział o związku pomiędzy ojcem a propozycją kontraktu. Zresztą nawet gdyby ktoś próbował zaszcześcić w nim tego typu podejrzenie, odepchnąłby je bez wahania. Ojciec przecież przedstawiał mu się dotąd jako zaprzysięgły wróg Diany. I oto nagle ten wróg, zachowując anonimowość i kosztem krociowych sum, próbuje związać się z nią umową. Chris poczuł, że ma twardy orzech do zgryzienia.

Diana nie odrywała oczu od Reece'a. Napawała się mimiką jego aroganckiej twarzy, na której malowały się tak różnorodne uczucia, jak ulga, zniecierpliwienie, wściekłość, lęk i podziw. Niemal czytała w jego myślach. Mogłaby przysiąc, że zadawał sobie w tej chwili pytanie, kiedy wreszcie przestanie go dręczyć:

- Czy to na pewno jedyny powód, dla którego odrzuciłaś tę propozycję? - Patrzył na nią tak intensywnie przenikliwym wzrokiem, jakby chciał wyczytać prawdę mimo słów.

- Oczywiście.

To słowo było jak pchnięcie sztyletem. Poczuł, że pożąda jej jeszcze bardziej.

- W biznesie nie kierujemy się uczuciami. Trzymamy się liczb, danych, konkretnych informacji. Proponuję, ażebyś tak właśnie ustosunkowała się do tego kontraktu.

Powiedział dokładnie to, co myślał i co należało do kanonu jego zasad. Nie było w tym nic nadzwyczajnego, a przynajmniej nic takiego, co mogłoby wzbudzić tego rodzaju reakcję. Bo reakcja Diany na te słowa nie była zwyczajna. Jej twarz powlekła się śmiertelną bladością, a oczy z zielonych stały się wręcz czarne.

Tak, nie mylił się, to był najprawdziwszy wyraz bólu. Domyślał się, że zanim Diana wspięła się na szczyt, jej życie nie musiało być usiane różami. Nawet na pewno nie było, zważywszy na szaloną konkurencję w zamkniętym światku modelek, gdzie młode, niedoświadczone dziewczęta walczyły o jak najlepszą pozycję bez żadnych gwarancji, że osoby, którym akurat zaufały, nie oszukają ich dla własnych

korzyści. A tak właśnie zdarzało się najczęściej. Był niemal pewien, że Diana, dzieląc los swoich koleżanek i konkurentek zarazem, miała również za sobą tego rodzaju bolesne doświadczenia.

I wiedział, że gdyby pojawił się w tym salonie mężczyzna, który zadał jej ból, udusiłby go gołymi rękami!

- Nie podjęłam mojej decyzji na fali emocji - powiedziała Diana trochę chrapliwym głosem. - Odrzuciłam ofertę w momencie, gdy o niej usłyszałam. Poszłam na to spotkanie tylko dlatego, że prosiła mnie o to moja agentka. Ty, Reece, oraz Carlton Cosmetics to jedno. I to równanie przesądza sprawę.

Pomimo iż bladość nie zniknęła jeszcze z jej twarzy, Diana odzyskała już kontrolę nad sobą. O ile w ogóle przedtem ją straciła, czego nie był bynajmniej pewien.

Czego natomiast całkowicie był pewien, to nienormalnego, chorobliwego wręcz układu, jaki wytworzył się między nim a tą dziewczyną. Coraz bardziej wikłał się w coś, co burzyło ustalony porządek jego dotychczasowego życia. Zląkł się, że niebawem pogrąży się w zupełnym chaosie.

Scandalous

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Diana poczuła, że nudności ustąpiły i znów pewnie stoi na nogach. Doświadczyła przed chwilą czegoś, co było najprawdziwszym zawrotem głowy. Jedyne cudem nie upadła i nie ośmieszyła się w oczach tych wszystkich zgromadzonych tu ludzi.

Już dłużej nie mogła ciągnąć tej zabawy w ciuciubabkę. Musiała wreszcie doprowadzić rzecz do końca.

-Przykro mi, Reece. - Dotknęła opuszkami palców pulsujących skroni. - Chyba nie czuję się najlepiej. Jeśli uzyskam zwolnienie od Charles a, to czy odwiesziesz mnie do domu?

Zauważyła jasny płomień w jego stalowych oczach, lecz była zbyt odrętwiała duchowo, aby przekładać go na znaczenia. Jeżeli nie upora się sama ze sobą, to wówczas cały bolesny wysiłek ostatnich tygodni pójdzie na marne. Nie mogła do tego dopuścić. Winna była jakieś zadośćuczynienie swemu biednemu ojcu. Musiała wypełnić złożone ślubowanie.

- O ile, rzecz jasna - dodała na widok wchodzącej do salonu Barbary Carlton - masz czas i nie umówiłeś się tutaj z kimś...

Poszedł za jej spojrzeniem.

- Nie, z nikim konkretnie nie jestem umówiony -powiedział, twardo akcentując poszczególne sylaby. - I mam dostatecznie dużo czasu, by zawieźć cię, gdziekolwiek tylko sobie zażyczysz.

Wszystko wskazywało na to, że mówił prawdę, gdy nazywał swój stosunek z Barbarą wyłącznie przyjacielskim i opartym na

wspólnocie interesów. Winnym wypadku to „nie”, które przed chwilą padło z jego ust, nie przyszłoby mu tak łatwo.

- Idę zatem do Charlesa; mam nadzieję, że pozwoli mi wyjść. - Przeniosła wzrok na młodą parę. - Miło było w końcu poznać cię, Maddy.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

- Szczególnie jeśli Chris wszystko robił, by do naszego spotkania nie doszło.

- Dajcie spokój, dziewczęta! - wykrzyknął winowajca z teatralnym gestem. - Przestańcie walić w człowieka niczym w bokserski worek treningowy.

Madeleine położyła dłoń na jego ramieniu i słodko spojrzała mu w oczy.

-Przestanę pod warunkiem, że już nigdy nie zapomnisz, z kimś jesteś zaręczony. Wątpię zresztą, byś ze złamanym nosem wyglądał równie dystyngowanie jak Reece.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, zaś Diana po raz kolejny musiała przyznać w myślach Madeleine wysoką ocenę za jej klasę i styl. Chris, mimo iż śmiał się razem z nimi, prawdopodobnie wreszcie zaczynał rozumieć, że osoba, z którą się związał, ma charakter i nie da się wodzić za nos. Niewykluczone, że w tym momencie, sądząc z jego oszołomionej miny, poczuł się pantoflarzem.

Usłyszawszy kto ma zawieźć Dianę do domu, Charles zmarszczył brwi.

- Uważaj na siebie, Diana - powiedział, rzucając okiem w kierunku Reece'a, który właśnie rozmawiał z Barbarą. - Ten facet cieszy się sławą...

- Wiem - przerwała mu, gorąco ściskając jego dłoń. Wiedziała, że troska Charlesa wypływa z bezinteresownej sympatii i przyjaźni. Był związany z Joanną od lat i mimo licznych pokus, na jakie narażał go jego zawód, pozostawał jej wierny. - Nie przejmuj się. Potrafię zadbać o siebie.

Tak, była w tym wyćwiczona. Musiała nauczyć się dbać o siebie, skoro nie miała nikogo, kto troszczyłby się o nią. Zawdzięczała to Falconowi i teraz nadchodziła chwila, aby mu za to podziękować.

Reece równocześnie trapił się złym samopoczuciem Diany, jak też wdzięczny był losowi za sposobność wyrwania jej z tego przyjęcia. Byli nareszcie sami. Czekał na tę chwilę zbyt długo, by teraz nie miał jej wykorzystać. Tego rodzaju okazja mogła się prędko nie powtórzyć. Musiał wyznać jej swoje uczucia.

Jak to dobrze, iż posłuchał wewnętrznego podszeptu i przyjechał własnym samochodem. W gruncie rzeczy pragnął zapewnić sobie możliwość opuszczenia przyjęcia w każdym momencie, bez niepokojenia Chrisa i Maddy. Wierzył teraz jednak, że wplątała się w jego zamiary całkiem mistyczna intuicja. Przewidział niejako, iż będzie miał teraz Dianę obok siebie na fotelu, przed sobą zaś rozjarzoną od reklam londyńską ulicę. Najciekawsze, że znajdował się w tak podniosłym nastroju, jak szesnastoletni chłopak na swojej pierwszej randce.

Milczeli, zatopieni w myślach,

Diana świadoma była niecierpliwości i podniecenia mężczyzny siedzącego za kierownicą. Nie odczuwała jednak żadnego niepokoju. Mógł sobie myśleć, że wygrał bitwę - do wygrania wojny było mu jeszcze daleko. Zresztą w wojnie, którą rozpętała, mieli być tylko pokonani.

- Czy wejdiesz na kawę? - zapytała, gdy zatrzymali się przed jej domem. - Zepsułam ci wieczór i chcę się jakoś odwdzięczyć.

Wykrzywił usta.

- Nie cierpię tych przyjęć, na których każdy chce zaimponować każdemu. Poszedłem tam tylko na prośbę Chrisa i Maddy. Poza tym nie wiem, czy czujesz się na, tyle dobrze...

- Czy to znaczy, że nie chcesz kawy?

Zrobił minę człowieka, któremu wymyka się z rąk ostatnia szansa.

- Uwielbiam kawę. Jeśli więc stan twojego zdrowia...

-Gdyby stan mojego zdrowia wymagał wizyty u lekarza, nie wysunęłabym tej propozycji.

-W porządku! - krzyknął, wyskakując z samochodu. - Właściwie to przez cały dzień marzyłem o kawie.

Puddle, zdrajca, otarł się grzbietem o nogi Reece'a, witając w nim dobrego znajomego. A zostawiwszy na szarych nogawkach spodni kilka czarnych włosków, powędrował zadowolonym krokiem do swego posłanka przy kaloryferze pod oknem.

Zawiódł ją. Miała nadzieję, że kiedy Reece zacznie go głaskać, powodowany wrogością Puddle zatopi w jego dłoni swoje ostre ząbki. Ale tu zamiast rozlewu krwi była serdeczna komitywa. I wierzyć tu zwierzętom!

- Czy naprawdę ciebie i Oxleya nic nie łączy? - zapytał nagle Reece w ciszy, jaka zapadła.

Wytrzymała jego spojrzenie.

- A byłbyś zmartwiony, gdyby coś nas łączyło?

- Odpowiedz na moje pytanie - wysapał.

- Nie. Nic a nic. I dotyczy to w równym stopniu teraźniejszości, jak i przeszłości - odparła, wyprzedzając pytanie, które nieuchronnie miało nastąpić. - A te raz pozwól, Reece, że ja o coś zapytam. O co właściwie ci chodzi? Czego ty chcesz ode mnie?

Zwilżyła wargi. Zrobiła to bez intencji prowokowania go, mimo to efekt zaskoczył ją i trochę przestraszył. Stałowe oczy Reece'a zmieniły się w dwa rozżarzone do białości węgle, a nozdrza złamanego nosa rozdymały się niczym chrapy u rozhukanego wierzchowca.

Nie czekając na jego odpowiedź, szybko dodała:

- Reece, jestem pewna, iż musisz zdawać sobie sprawę, że to twoje osaczanie mnie to nie jest coś, za czym bym przepadała.

Nabrał w płuca powietrza.

- A ja w odróżnieniu od ciebie niczego nie jestem pewien. Nie wiem nawet, czy znam cię, Diano. Po wiedz, kim ty właściwie jesteś?

Poczuła dziwną słabość w kolanach. Czyżby do grzebał się do jej przeszłości?

- Nie rozumiem...

- Dlaczego myślę o tobie dniem i nocą? I dlaczego pragnę cię, jak nie pragnąłem dotąd żadnej innej kobiety?

A zatem rozkochała go w sobie! Jej triumf był tak wielki, że bez słowa sprzeciwu pozwoliła mu, by zamknął ją w uścisku i okrył pocałunkami.

Świętując zwycięstwo, dopiero po jakimś czasie poczuła dotyk jego ust i pieszczotę dłoni. Te pierwsze doznania sprawiły jej przyjemność. Otoczyła ramio nami jego szyję, zanurzyła palce we włosy. Złączyli się w namiętym długim pocałunku. Przywarła mocniej do mężczyzny, który teraz wodził gorącymi zaborczymi ustami po jej karku i szyi. Zatrzymał się w miejscu, gdzie zaczynał się materiał sukienki. Za wahał się, a ona niemal poczuła do niego żal za to niezdecydowanie. Nie dbała o sukienkę. Niechby nawet poszarpał ją na strzępy! On jednak tylko podniósł głowę i spojrzał w jej oczy.

- Oto, czego pragnę! - szepnął, oddychając chrapliwie. - Ciebie. Twojego ciała. Miłości z tobą. Stanu, w którym nic już nas nie będzie dzielić.

Ten głos. Ten głos wstrząsnął pokładami jej podświadomości, wywołał zmorę tamtych dni, podziałał jak smagnięcie biczem, otrzeźwił aż do bólu, a wreszcie ustanowił przepaść pomiędzy mężczyzną, który tulił ją i całował, a Reece'em Falconem, winnym śmierci jej ojca i rozpadu rodziny. Ten pierwszy wprowadził ją w

oszołomienie, pobudzał zmysły, ale pobudzał również serce, które biło w coraz szybszym rytmie. Ten drugi przypominał o obowiązku nienawiści i zemsty. Ale przecież obaj składali się na jednego człowieka. Pokochać go znaczyłoby stworzyć wybuchową mieszankę sprzecznych żywiołów, narazić siebie na jakieś schizofreniczne rozdarcie, a w końcu na całkowite zniszczenie.

Mimo że nadal stali spleceni w uścisku, Reece poczuł, że Diana oddała się od niego. Nie mógł jej na to pozwolić. Musiał teraz zmobilizować całą swoją energię, aby utrzymać ją w tym stanie erotycznej bezwładności i oszołomienia. Bądź co bądź pomiędzy nimi stało się coś; na co czekał od tylu tygodni i co było ostatnio największym jego pragnieniem.

- Diano! - Delikatnie potrząsnął nią. - Nie patrz tak na mnie. Po co ci ta walka ze mną? Zostańmy kochankami.

Teraz wiedział przynajmniej tyle, że ona również tego chciała. Bezspornych na to dowodów miał przed chwilą bez liku. Niemal otworzyła się na jego przyjęcie. A teraz zamyka się na powrót i oddała.

- Diano! - Potrząsnął nią ponownie, tym razem z większą gwałtownością.

Jej głowa odskakiwała przez chwilę niczym piłka. Diana miała bladą twarz i ciężko oddychała.

-Ja... nigdy nie miałam romansu, Reece.

Zmarszczył czoło. W jego oczach odmalowało się zakłopotanie. Chyba nie chciała zasugerować mu...

- Co mówisz? Wytrzymała jego wzrok.

- Jestem dziewicą.

Drgnął i lekko rozluźnił ramiona. Nie, to było czystą niemożliwością, aby ta piękna kobieta o ciele jak gdyby wyrzeźbionym w akcie miłosnym nigdy nie doświadczyła dotyku kochanka! A jednak nie wątpił w prawdziwość jej słów. Tłumaczyły tak wiele, między innymi i to, dlaczego wydawała mu się zawsze tak nieuchwytna i niedostępna. Bo była niedostępna, o ile być dostępną znaczyło dawać dostęp do siebie mężczyznom.

I teraz, kiedy patrzył na jej cudowną pobladłą twarz, uświadomił sobie z całą jasnością, że właśnie tego chciał, chce i będzie chciał zawsze i niezmiennie. Żeby należała tylko do niego.

Było oczywiste, że w przeszłości kochało ją i pragnęło wielu mężczyzn. Było oczywiste, że niektórzy z nich pozwolili sobie na otwarte awanse. Dlaczego żadnego z nich nie wybrała sobie na kochanka, narzeczonego, męża? Pytanie to samo się narzucało, a jednak ganił siebie za swoją podejrzliwość. Wolał spoglądać na nią jak na istotę, którą los wybrał dla niego, a uchroniwszy od wszelkich niebezpieczeństw, rzucił mu ją, czystą i nieskalaną, w ramiona.

- Wyjdiesz za mnie?

Aż znieruchomiał ze zdumienia. Te słowa, mimo iż wyszły z jego ust, nie zostały przez niego wypowiedziane. Powiedział je jakby ktoś inny, ktoś oszalały z miłości.

A potem wszystko nagle stało się bardzo dziwne i tajemnicze. Bo jej usta również się otworzyły i uleciał z nich jeden dźwięk.

-Tak.

ROZDZIAŁ ÓSMY

To, co się stało przed chwilą, możliwe było tylko dzięki temu, iż przed trzema miesiącami na pewnym ekskluzywnym przyjęciu Diana poznała Christophera Falcona. Młody mężczyzna był jej rówieśnikiem, ale o ile on wzrastał w kokonie dobrobytu i szczęścia, jej życie ułożyło się całkiem inaczej.

Do ukończenia szkoły średniej Diana żyła wyłącznie nauką i nienawiścią do człowieka, który pchnął jej ukochanego ojca do samobójczej śmierci. Otrzymawszy świadectwo dojrzałości, znalazła pracę modelki. Wytrwale poszukując informacji o swoim wrogu, czytała systematycznie gazety. Zdarzało się nierzadko, że natrafiała w nich niemal co tydzień na zdjęcie Reece'a Falcona, dynamicznego, rzutkiego, przedsiębiorczego biznesmena, jak określali go dziennikarze. Jej nienawiść zmieniła się w tępy ból, ten zaś w duchowe opętanie. Diana zdawała sobie sprawę, że jej szanse spotkania tego człowieka praktycznie równają się zeru, nawet w przypadku, gdyby udało się jej osiągnąć sukces w swoim zawodzie. Wszystko to zmieniło się diametralnie z chwilą poznania Chrisa. Tamtego wieczoru pojawiła się przed nią realna perspektywa pomszczenia śmierci ojca, i to w sposób, który ugodzi Falcona najmocniej i najboleśniej.

Falcon bardzo kochał swojego jedyne syna, ale Diana nie mogła zdobyć się na to, aby ugodzić go poprzez Chrisa. To bezpośrednio Reece miał być jej celem i ofiarą. Pragnęła wtrącić go w

tę samą beznadziejną rozpacz, która stała się udziałem jej ojca przed samobójczą śmiercią, i w to samo dojmujące poczucie utraty, w którym żyła od dwunastu lat.

Chris miał być tylko przynętą. Wychodziła z założenia, iż Falcon, kiedy tylko ją pozna, zapragnie jej, ona zaś dozuając ocet i miód w odpowiednich proporcjach, doprowadzi go do miłosnego szaleństwa.

Poszło to łatwiej, niż mogła oczekiwać w najśmielszych nawet marzeniach. Falcon poprosił ją o rękę!

Dobiegł ją jego zduszony śmiech.

- Nie mogę uwierzyć! Bo chyba śnię, że się oświadczyłem!

Usłyszała w głowie dzwonek alarmowy. Czyżby pożałował nieopatrzego kroku i zamierzał się wycofać?

A czy takie rozwiązanie nie byłoby w gruncie rzeczy czymś lepszym? Nie do końca przemyślała swoje plany, nie mogła więc w tej chwili ogarnąć wszystkich konsekwencji zaistniałego dopiero co faktu. Pakowała się z zamkniętymi oczami w coś, co mogło okazać się nowym piekłem, gorszym od poprzedniego.

Wzburzenie i pomieszanie Diany osiągnęły stan krytyczny, gdy równocześnie przypomniała sobie tamtą okropną scenę w gabinecie ojca - och, ile krwi! - oraz to bardzo podobne do miłości uczucie, które wypełniało jej serce przed kilkoma minutami.

- Hej, rozchmurz się! Nie powiedziałem, że żałuję moich słów, tylko że nie mogę się im nadziwić.

Teraz dopiero z całą ostrością uświadomiła sobie, że przecież przyjęła jego oświadczenia. Jak mogła poślubić i kochać człowieka, do którego równocześnie pałała nienawiścią? Nie było w tym żadnej logiki, nawet logiki uczuć.

Milczenie Diany przedłużało się. Reece poczuł się zaniepokojony.

- Nie lękaj się, wszystko będzie w najlepszym porządku. Już ja się o to postaram - obiecał jej. - Tylko że po tym, co sobie powiedzieliśmy, nie prosz mnie, błagam, o czas do namysłu.

Najwyraźniej czytał w jej myślach! Unieważnił dokładnie to, co zamierzała uczynić.

Czuła się tak, jakby budziła się z głębokiego snu lub wynurzała z długiego mrocznego tunelu, którym wędrowała przez te wszystkie lata, zobojętniała i nieczuła na miłość i ból. Mówi się, że od miłości do nienawiści jest tylko jeden krok. Ale czy oba te uczucia mogą współistnieć ze sobą? Wątpiła w to, bo wiedziała, że tak samo jak woda gasi ogień, tak miłość wypiera nienawiść albo nienawiść miłość.

-Diano, wiem, że dopiero co spotkaliśmy się i prawie się nie znamy - powiedział, jakby wyczuwając jej bolesną rozterkę. - Poza tym te kilka spotkań, które mamy za sobą, poświęciliśmy prawie wyłącznie na sprzeczki. Ale to chyba dlatego, że już tam, w Paryżu, olśniłaś mnie i głęboko zapadłaś w moją duszę. Żyłem odtąd na granicy jawy i snu, całkiem wytrącony z równowagi.

Słuchała go i zarazem konfrontowała chwilę obecną z planami odwetu i zemsty, którym podporządkowała ostatni okres swojego

życia. Miała zamiar odsłonić swoją prawdziwą twarz w dniu ich ślubu. To wówczas zamiast przysięgi miłości i wierności małżeńskiej Reece miał usłyszeć od niej słowa potępienia i wzdargy. Miał zostać zatruty jadem zemsty w momencie, gdy będzie wychylał puchar szczęścia. Obraz ten, jeszcze tak niedawno mobilizujący Jej siły, teraz przeraził ją. Zaczynała popadać w zwątpienie. Coraz gęstsza mgła zakrywała przyszłość.

Reece obserwował z napiętą uwagą jej twarz, na której odbijały się sprzeczne uczucia. Wielu z nich nie potrafił rozszyfrować, ale co do jednego był absolutnie pewien. Diana, podobnie zresztą jak on sam, tyle że w nieco mniejszym stopniu, przeżyła szok związany z nagłą przemianą w ich wzajemnym stosunku. Jeszcze przed godziną, formalnie rzecz biorąc, byli obcymi sobie ludźmi, teraz są już po słowie.

A przecież przyrzekł sobie, że po raz drugi się nie ożeni. Życie, jakie wiódł przez ostatnie lata, odpowiadało mu. Żadnych obowiązków, dużo przyjemności. I dopiero przed kilku tygodniami uświadomił sobie, że żył właściwie z pustką w sercu. Nie widział przed sobą celu, na którym mógłby się skupić i który porządkowałby jego egzystencję, nadając jej sens. Teraz wiedział, że taką zasadą porządkującą może być tylko Diana.

Dzieliła ich przepaść, jeśli idzie o wiek i życiowe doświadczenie. Był od niej starszy o osiemnaście lat, miał już za sobą jedno nieudane małżeństwo. Jego syn był rówieśnikiem kobiety, którą zamierzał poślubić. Doprawdy, odsunąwszy na bok pieniądze, nie

stanowił najlepszej partii dla Diany. Ale gotów był na wszystko, by tylko ją zdobyć. Musiała być jego!,

- Uważam, że ze ślubem nie mamy co zwlekać - powiedział pewnym tonem, jakby nie zauważając lekliwego protestu malującego się na jej twarzy. - Im bliższą wyznaczymy datę, tym lepiej.

- Przez najbliższe miesiące związana będę umowami - zdołała wyszeptać.

Słowa te uświadomiły mu, że jego narzeczona była, bądź co bądź, osobą publiczną, występującą w tym ekskluzywnym cyrku, zwanym światem mody. On zaś pragnął mieć ją wyłącznie dla siebie. Czy jednak mógł jej o tym powiedzieć? Wyczuwał intuicyjnie, że z tym

płochliwym ptaszkiem postępować trzeba bardzo ostrożnie, bo inaczej odfrunie. Znał jej silną wolę oraz przywiązanie do swojej pracy. W rezultacie doszedł do wniosku, że najrozsądniej będzie przełożyć ten temat na później, kiedy już będą mężem i żoną i ptaszek znajdzie się w klatce.

-Myślę, że uda się nam wpasować z naszym ślubem w jakąś lukę w twych...

Potrząsnęła głową.

- Teraz, kiedy powiedzieliśmy już sobie rzecz najważniejszą, nie ma pośpiechu...

- Nie ma? - zapytał, spoglądając na nią badawczo. Na jej twarzy pojawiły się delikatne rumieńce.

- Musimy przede wszystkim powiadomić o naszej decyzji Chrisa
- rzekła odsuwając się.

Pozwolił, aby wymknęła mu się z rąk. Zafrapowała go uwaga o Chrisie. No właśnie, Chris! Zaprzątnięty Dianą, całkowicie zapomniał o swoim synu. Jak zareaguje Chris? Jedno było pewne: nie będzie tym zachwycony.

Zresztą mniejsza o taką lub inną reakcję Chrisa. Ostatecznie on, Reece, miał własne życie i mógł kształtować je wedle swej niezawisłej woli. Mógł ożenić się z każdą kobietą, również i tą, której Chris w żaden sposób nie będzie mógł zaakceptować jako swojej macochy.

Diana, rzecz jasna, dostrzegła, że wzmianka o synu wprawiła Reece'a w głębokie zakłopotanie. Wyraz arogancji i pewności siebie jak gdyby zniknął z jego twarzy, aby po chwili, niestety, znów się na niej pojawić. Sądząc z oznak, Reece miał zamiar forsować swą wolę wbrew wszystkim i wszystkiemu.

- Powiadomię go - wybuchnął. - Ale obiecuję, że nic i nikt nie stanie na przeszkodzie naszemu małżeństwu.

Oto miała to, czego pragnęła od chwili, kiedy poznała Chrisa!

Umówili się na następny dzień. Reece przyjechał po Dianę do domu i wyciągnął ją na miasto. W jednym z największych jubilerskich sklepów w centrum Londynu wsunął na jej palec zaręczynowy pierścionek z diamentowym oczkiem. Kamień lśnił miłością, lecz ona widziała w tych błyskach groźną zapowiedź piorunów, które miały

zdruzgotać i spopielić ich związek. Następnie pojechali do londyńskiego apartamentu Reece'a.

Panował tu komfort, który przeszedł wszelkie jej oczekiwania, pomimo iż jeżdżąc po świecie, przywykła do luksusu najdroższych hoteli. Ale najbardziej godne uwagi okazały się ściany. Wiszące na nich obrazy nie były bowiem zwykłą ozdobą, lecz stanowiły bogatą i starannie skompletowaną kolekcję starych mistrzów.

Reece rzucił w rozmowie, że ma jeszcze trzy domy - w Nowym Jorku, w Hong Kongu oraz na wyspach Bahama.

O domu w Chalford ani się nie zająknął!

Diana wiedziała, że jej dom rodzinny, aczkolwiek pusty i milczący, nadal znajduje się w jego posiadaniu. Była tam tylko raz, tuż po opuszczeniu Szkoły, i z krwawiącym sercem patrzyła na starą posiadłość, która rozbrzmiewała niegdyś jej śmiechem.

Pragnąc uwolnić się od tych przykrych myśli, zaczęła oglądać obrazy. Była tu zgromadzona jakby w jednej pigułce cała historia malarstwa. Wpatrywała się właśnie w baśniowy ogród Henriego Rousseau, kiedy Reece podszedł do niej z drinkami.

- Przyznaję, że obcujesz w tej chwili z dowodem mego samolubstwa - powiedział. - Trzymając te wszystkie arcydzieła tutaj, pozbawiam tym samym innych ludzi szansy zobaczenia ich.

Oderwała wzrok od kwiatów, tygrysów i gigantycznych motyli i spojrzała na Reece'a.

- Czy wobec kobiet zwykłeś zajmować taką samą postawę, jak wobec tych obrazów? - zapytała z nutką prowokacji.

Pamiętała, jak zareagował wczoraj na wzmiankę z jej strony, że zamierza po ślubie kontynuować karierę modelki. Z jego miny wynikało niezbitcie, iż chętnie umieściłby ją w jakimś komfortowym mieszkaniu, zamknął na klucz, po czym ów klucz wrzucił do morza.

- Zrozum, Diano - odparł po chwili namysłu. - Moje interesy wymagają, bym prawie bez przerwy włóczył się po świecie. I ostatnią rzeczą, jakiej bym sobie życzył, to wylatywać do Hong Kongu w tym samym momencie, kiedy ty będziesz wsiadała do samolotu do Montrealu czy Buenos Aires.

Uśmiechnęła się.

- Ale pomyśl tylko o radości związanej z końcem takiej rozłąki.

Owszem, myślał o czymś podobnym już od bardzo dawna. Niewykluczone, że wczoraj dopiąłby celu. Na przeszkodzie stanęła niewinność Diany. Niewinności nie można godniej uczcić jak tylko małżeństwem. Pragnął, aby wszystko, co wiązało się z Dianą, miało jak najwspanialszą oprawę.

- Diano, nie chcę sporadycznych spotkań, podczas których człowiek od nowa poznaje swoją żonę. Chcę być z tobą bez przerwy, dniem i nocą. Chcę...

Położyła palec na jego wargach.

- Reece, tak się składa, że lubię moją pracę. Ciężko harowałam, by znaleźć się tam, gdzie jestem. Nie wyobrażam sobie, bym mogła czekać na ciebie w jednej z tych luksusowych hotelowych klutek, aż wpadniesz i zamienisz ze mną kilka słów pomiędzy jednym spotkaniem a drugim.

- Nic takiego się nie wydarzy - zaprotestował. Potrząsnęła głową tak gwałtownie, aż jej złote włosy przesywały się przez obnażone ramiona na przód stanika ciemnozielonej sukienki.

- Ależ wydarzy się, Reece, na pewno się wydarzy. Wyjął z jej dłoni szklankę z drinkiem i postawił wraz ze swoją na stoliku obok.

- Zaufaj mi. Ostatecznie wszystko zależy ode mnie. A ja chcę być z tobą, Diano, i tylko z tobą... Z czego się śmiejesz?

- Nie wiem, czy zauważyłeś, Reece, ale jest to nasza pierwsza narzeczeńska sprzeczka.

Faktycznie, sprzeczali się; I wiedział dlaczego. Miał oto przed sobą istotę niezależną, o silnym charakterze, samodzielną w myśleniu i działaniu. Stwarzało to pewne trudności, lecz również fascynowało, i to tym bardziej, że Diana z pozoru wydawała się wiotka i krucha, niemalże uległa.

- Pierwsza, lecz pewnie nie ostatnia - odparł z ironicznym wyrazem twarzy.

Diana spoważniała. Jej oczy pociemniały i nabrały barwy sukienki.

- Nie lubię sprzeczek, Reece.

- Więc pomyślmy o tym, jak im zapobiec. Wziął ją w ramiona i zaczął całować. Tym razem nie stawiała oporu. Na jego namiętność odpowiadała swoją.

- Przepraszam, że przeszkadzam - rozległ się nagle w pokoju czyjś ściszony, urywany głos. - Na dzwonek nikt nie odpowiadał,

więc posłużyłem się własnym kluczem... Cześć, Diano... Nie spodziewałem się, że ty i ojciec...

Twarz Chrisa wyrażała bolesne zaskoczenie. Chłopak stał w drzwiach i oczekiwał na jakieś wyjaśnienie. Mieszkał tu razem z ojcem od ponad pół roku, więc Diany nie zdziwiło, że miał klucz- Pech chciał, że użył go w momencie, gdy cały świat przestał dla nich istnieć. Nakrył ich niczym dwójkę zajętych sobą nastolatków. Diana czuła się tak zawstydzona, że nie wiedziała, gdzie uciec z oczami.

Inaczej Reece. Ten wprawdzie zmienił pozycję, lecz ani myślał cofnąć ręki z jej ramion. Chris, chciałbym przedstawić ci...

- Na miłość boską, przecież wiem, kim ona jest!

- Przedstawiam ci moją narzeczoną - dokończył Reece mocnym i dźwięcznym głosem. - Twoją przyszłą macochę.

Chris zmieszał się, a w jego oczach pojawił się jakby strach. Dianie zrobiło się żal chłopaka. Chętnie w tej chwili wyjaśniłaby mu wszystko, ażeby tylko wydobyć go z tego straszego położenia, lecz jej zdrtwiałe wargi zdołały jedynie wyartykułować dwa słowa:

- Chris, ja...

Co chciała powiedzieć? Czy to, że nigdy nie kochała Chrisa, czy też to, że naprawdę nazywa się Divinia Lambeth i jest córką człowieka, którego zabił jego ojciec? Cokolwiek chciała powiedzieć, odetchnęła z ulgą, że się jej to nie udało.

- Spróbuj się przyzwyczaić, Chris, do tej nowej sytuacji. Nasz ślub odbędzie się w przyszłym miesiącu.

Zaskoczona, spojrzała na Reece'a pytającym wzrokiem. O ile pamiętała, żadnej daty ślubu nie ustalili jeszcze. Reece zdecydował o tym bez jej zgody. Przeszedł do porządku nad jej uwagą, że przez najbliższe miesiące musi realizować zobowiązania wynikające z najróżniejszych umów. Po prostu nie przyjął tego do wiadomości, a ona nie mogła przecież w tej chwili przypomnieć mu o tym.

-Nic o was nie wiedziałem... Nawet nie domyślałem się... Skąd ten pośpiech ze ślubem? - W głosie Chrisa zabrzmiała nutka podejrzliwości.

Diana poczuła, że ciało mężczyzny, który ogarniał ją ramieniem, twardnieje z gniewu. Reece nie cierpiał sytuacji, kiedy stawiano go pod ścianą i kazano mu się tłumaczyć.

- Ponieważ chcę, żeby Diana została moją żoną i ożeniłbym się z nią chociażby jutro, gdyby dało się to załatwić.

Chris najwyraźniej zaczął otrząsać się z szoku, gdyż pozwolił sobie nawet na drwiący uśmiezek.

- Dziwi mnie, że nie możesz załatwić czegoś, czego naprawdę chcesz. To trochę nie w twoim stylu, ojcie. - Pokręcił głową z niesmakiem. - Natomiast zupełnie mnie teraz nie dziwi, że tak twardo sprzeciwiałeś się mojemu małżeństwu z Boską. Chciałeś mieć ją dla siebie!

-Ma na imię Diana - powiedział Reece przez zaciśnięte zęby. Było jasne, że Chris celowo posłużył się jej pseudonimem, skoro dotąd w sposób jak najbardziej naturalny używał jej imienia. - Lub jeśli chciałbyś wyrazić swój szacunek, nazywaj ją matką.

Twarz młodego mężczyzny zapłonęła gniewem.

-Racysz sobie żartować! Ja już mam matkę, która, jak zapewne pamiętasz, zbliża się do czterdziestki. Nie jest jej winą, że zacząłeś gustować w dzieciakach.

Diana obserwowała obu mężczyzn jakby z dalekiego dystansu. Ta scena odpowiadała dokładnie temu, czego pragnęła od chwili poznania Chrisa: syn przeciwko ojcu, ojciec przeciwko synowi. W jej przekonaniu miało to zniszczyć szczęśliwe życie człowieka, który nigdy nie miał skrupułów, gdy chodziło o odebranie szczęścia innym. Tak właśnie to sobie umyśliła, by teraz z przerażeniem spoglądać na rzeczywistą postać teoretycznych dotąd założeń. Kłótnia tych mężczyzn była czymś strasznym, potwornym, trudnym do zniesienia. Diana znalazła się na granicy wytrzymałości.

- Jedyнным dzieciakiem wśród nas jesteś ty, Chris...

- Przestańcie! - krzyknęła.

Kiedyś nie zdobyła się na to, by wykrzyknąć to słowo. Stała wówczas za kotarą i słuchała kłótni Reece'a z ojcem. Jakże teraz żałowała tamtej dziecięcej słabości. Gdyby ojciec wtedy dowiedział się, jak bardzo go kocha, z pewnością nie sięgnąłby po pistolet. Wiedziałby, że wbrew wszystkim ciosom, jakie na niego spadły, musi żyć dla swojej córki. Obecnie sytuacja była inna, lecz przecież coś ją z tamtą łączyło. Ci dwaj kłócący się ze sobą mężczyźni w istocie się kochali. Musiała zrobić przynajmniej tyle, aby ich miłość nie przemieniła się w nienawiść.

Chris spojrzał na nią oczyma kopniętego szczeniaka.

-Diano, ja po prostu ciągle nie mogę tego zrozumieć.

- Nie mamy sobie nic do wyrzucenia - odpowiedział za nią Reece, zaniepokojony jej bladością. - Absolutnie nic. Czy wyrażam się jasno?

Jaśniej w zasadzie nie można było, pomyślała Diana, patrząc na pełną niedowierzania twarz Chrisa. Zresztą zaraz na samym początku znajomości wyjaśniła mu swój stosunek do spraw seksu i on go w pełni zaakceptował. Jeżeli więc teraz spoglądał na nich z takim sceptycyzmem, to tylko dlatego, iż nie mieściło mu się w głowie, że ojciec mógł pójść w jego ślady.

- Cóż, nie wiem, co powiedzieć - rzekł w końcu, nieporadnie wzruszając ramionami.

Diana poczuła, że ciało Reece'a rozluźnia się. Wszystko wskazywało na to, że najgorsze minęło. Najprawdopodobniej Chris doszedł do wniosku, że nie jest w stanie powstrzymać biegu wydarzeń i czemukolwiek zapobiec. Musiał rozumowo zaakceptować coś, przeciwko czemu buntował się uczuciowo. Biedny Chris! Nie chciałaby być w jego skórze.

- A zatem, jak to mówią, witaj w rodzinie! - huknął Reece sztucznie ożywionym głosem.

Obserwując syna, jak całuje Dianę w policzek, Reece czuł niezmierną ulgę. Ogromne wewnętrzne ciśnienie, które miało za chwilę doprowadzić go do wybuchu gniewu, nagle ustąpiło, zostawiając po sobie pustkę i kroplę gorzkości. Reece bowiem uświadomił sobie, że gdyby miał wybierać pomiędzy Dianą a

Chrisem, wybrałby kobietę, którą kochał. Czy oznaczało to, że nie kochał syna? Bynajmniej. Oznaczało tylko, że jedna miłość musiała ustąpić tu przed drugą.

Diana odrodziła go. Z chwilą poznania jej świat od nowa odłonił przed nim swoje uroki. Poczł się całkiem innym człowiekiem. Gnębiła go jedynie płochliwość i nieuchwytność Diany. Ciągle nie był jej pewien, jakkolwiek jego lęk nie posiadał żadnych realnych podstaw. Brak pewności brał się raczej z psychicznej atmosfery, którą rozprzestrzeniała wokół siebie ta cudowna dziewczyna. Im szybciej więc wsunie na jej palec obrączkę, tym szybciej odzyska spokój i zacznie z ufnością patrzeć w przyszłość. Zakrawało poza tym na ironię losu, że odrzuciwszy tyle niedwuznacznych małżeńskich ofert ze strony kobiet, które nie kryły się z tym, że chcą zastąpić u jego boku Cathy, oświadczył się dziewczynie, która wymykała się mu z równą zręcznością, z jaką on wymykał się tamtym kobietom. Być może po prostu zasłużył sobie na to! Pozostawała jeszcze kwestia jej uporu. Rzecz sprowadzała się do tego, czy Diana po ślubie porzuci karierę modelki, czy też będzie nadal na oczach pożąujących jej mężczyzn spacerowała po wybiegu? Postanowił rozstrzygnąć ten problem w swoim czasie. Dziś najważniejsza była obrączka!

Przez kilka następnych dni Reece wprawdzie nie powracał do sprawy wyznaczenia daty ślubu, lecz i tak Diana żyła w przeświadczeniu, iż rzeczy wymknęły się jej spod kontroli. Ich zaręczyny przestały być bowiem ich prywatną tajemnicą i znalazły się

w odpowiednich rubrykach gazet. Diana była niemal pewna, że to, czego nie udało się wytropić dziennikarzom, dał im do rąk sam Reece.

Zacząła się męka życia na widoku. Gdziekolwiek się pojawiali, ciągnęli za sobą całe tabuny fotoreporterów, zaś w artykułach o nich rozdzielano włos ha czworo, zajmując się nawet takimi drobnostkami, jak kolor lakieru na paznokciach „szczęśliwej narzeczonej”. Co bardziej cyniczni wyrobownicy pióra pozwalali sobie na reklamarską przesadę i zestawiając ich ślub ze ślubem następcy tronu, Dianę nazywali „księżniczką modelek”, Reece'a zaś „królem biznesu”. Spekulacje na temat pałacu, w którym zamieszkają, oraz liczby „książąt i księżniczek”, których się dochowają, były tylko skromnym, acz nieodzownym dodatkiem. No cóż, wydawcy dbali, by ich gazety sprzedawały się jak ciepłe bułeczki!

Diana rozumiała to, niemniej nie mogła się oprzeć wybuchom irytacji.

- Jutro przeczytamy, że wybrali za nas imiona naszym dzieciom!
- wykrzyknęła pewnego wieczoru, rzucając w gniewie gazetę na podłogę.

Reece wybuchnął śmiechem, jednak i jego zaczynały denerwować te prasowe igrzyska.

Któregoś dnia zadzwonił Charles i złożył gratulacje, zaproponował Dianie ślubną suknię, którą prezentowała w Paryżu i która tak zainteresowała Falcona. Dowiedziawszy się o tym, Reece stwierdził arogancko, że i tak nie pozwoliłby żadnej innej kobiecie na świecie, włącznie z Madeleine, wziąć ślubu w tej sukni, gdyż od

początku widział w niej tylko Dianę, istotę stworzoną dla takiej oprawy. Tak czy inaczej, okazało się, że najwspanialsza ślubna suknia, dzieło talentu i fantazji Charlesa, będzie zdobiła właśnie ją w tym wyjątkowym dniu w życiu.

Na czym jednak miała polegać wyjątkowość tego dnia?

Otóż Diana uświadomiła sobie, że cała ta intymność i czułość, która tworzyła atmosferę ich spotkań w ostatnim okresie, prysnie niczym bańka mydlana, kiedy Reece dowie się prawdy o niej, a będzie musiał się dowiedzieć chociażby tylko z aktu urodzenia. Jeżeli więc chciała zaoszczędzić mu publicznej kompromitacji, musiała wyprzedzić fakty i powiedzieć mu wszystko wcześniej - dzisiaj, jutro, za tydzień.

Życie Diany było dotąd jednym długim pasmem samotności, lecz bynajmniej się tym nie martwiła. Teraz jednak, gdy zasmakowała w miłości, coraz bardziej lękała się pustki, którą obiecywała jej najbliższa przyszłość.

Rozmawiali właśnie o tej bliskiej i dalszej przyszłości, kiedy Reece nagle powiedział:

- Diano, kochanie, musisz wiedzieć, że nie chcę mieć już więcej dzieci.

Spojrzała ze zdumieniem na jego poważną, prawie surową twarz.

-Reece...?

Gwałtownie podniósł się z fotela i wtoczył ręce w kieszenie spodni.

- Mam trzydzieści dziewięć lat, a dokładnie czterdzieści bez trzech miesięcy. Jestem zbyt stary, by znowu zostawać ojcem.

Była w rozterce. Temat, który poruszył, z jej perspektywy wydawał się szczytem abstrakcji. Cóż mówić o dzieciach, jeśli sam ich małżeński związek stał pod znakiem zapytania? Ale Reece podchodził do sprawy ze śmiertelną powagą.

-Zawsze myślałam, że najważniejszy jest wiek matki.

- Moje życie nie było nastawione na posiadanie dzieci nawet podczas pierwszego małżeństwa. Tym bardziej teraz.

W poczuciu Diany rozmowa ta nadal zasługiwała na nazwę bezprzedmiotowej, mimo to jakąś część jej osobowości angażowała się w temat zupełnie spontanicznie.

-A może powinniśmy usiąść i razem dojść do jakichś wniosków?

Zatrzymał się w swojej wędrowce po pokoju. Rzucił na nią badawcze spojrzenie.

- Czy od tego, jakie to będą wnioski, uzależniasz swą ostateczną decyzję wyjścia za mnie za męża?

- Nie, ale...

- Żadnych dzieci. Próbuje się nam wmówić, że dzieci wzbogacają małżeństwo. Jest to wierutna bzdura. Przeciwnie, są powodem większości napięć i małżeńskich kłótni,

- Czy myślisz w tej chwili o sobie i Cathy?

Na jego twarzy pojawił się nieokreślony grymas.

- Nie chciałbym wracać do tamtych lat. Nie sądzę, aby roztrząsanie minionych błędów miało nam pomóc w uniknięciu

nowych. - Zbliżył się do niej i pogładził ją po policzku. - Po co rozdrapywać zabliźnione rany?

Miała zdecydowanie odmienne zdanie. Człowiek jest stworzeniem rozumnym i potrafi wyciągać pozytywne wnioski ze swoich pomyłek. Inna sprawa, że za dawne błędy należy również płacić. Nic nie może być przysypane piaskiem zapomnienia. Jej ból i rozdarcie brały się właśnie stąd, że co innego dyktował jej rozum, a co innego serce.

Scandalous

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Minęła już dobra chwila, odkąd otworzyła drzwi, a nadal nie mogła wydobyć z siebie ani jednego słowa.

- Czy zamierzasz trzymać mnie na tym progu przez cały dzień? - zapytała Janette żartobliwym tonem. - Przyznaję, iż liczyłam na to, że wpuścisz mnie do środka.

Diana ciągle stwarzała wrażenie osoby tkniętej paralizem. Nie widziała Janette od pięciu lat. Co ją tu sprowadziło? To chyba nie mogła być przypadkowa wizyta.

- Doprawdy, Diano, przestaję wierzyć w sens posyłania dzieci do kosztownych szkół, skoro nie potrafią one nauczyć nawet dobrych manier - powiedziała macocha, zmieniwszy ton głosu na zjadliwy i rozglądając się po mieszkaniu, do którego weszła bez zaproszenia.

Dianę owionął zapach jej perfum. Janette zawsze dbała o elegancję i styl. Minione lata okazały się dla niej łaskawsze, niż być może na to zasługiwała. Dawno przekroczyła już krytyczną trzydziestkę, a nadal była bardzo urodziwą i atrakcyjną kobietą. Drobnej i delikatnej budowy ciała, wydawała się uosobieniem kruchości, lecz tylko do momentu, gdy nie natrafiła na jakąś przeszkodę. Wówczas bowiem zmieniała się w taran, przed którym zmykali nawet najodważniejsi. Miała spływające do ramion proste, jasne włosy oraz niebieskie oczy o niewinnym wejrzeniu.

Diana była szesnastoletnią dziewczyną, kiedy po raz ostatni widziała się z Janette. Jej długie chude nogi, wąskie biodra i piersi,

które ledwie że zaczynały się rozwijać, upodabniały ją wówczas do żrebaka, niepewnie stawiającego swoje pierwsze kroki. Ale o ile od tamtych wakacji jej macocha zmieniła się niewiele, o tyle Diana stała się zupełnie inną istotą, zarówno pod względem fizycznym, jak i duchowym. Janette nie mogła tego nie zauważyć.

Zlustrowała Dianę od stóp do głów profesjonalnym spojrzeniem.

- A więc brzydkie kaczątko wyrosło na łabędzia - rzuciła w formie urągliwego komentarza.

Obie wiedziały, że Diana nigdy nie była brzydkim kaczątkiem. Po prostu Janette, która wiele wysiłku i pieniędzy wkładała w pielęgnowanie swojej urody, pragnęła w ten sposób odebrać Dianie zasługę naturalnego piękna.

W oczach Diany nie było nic oprócz chłodu.

- Czego chcesz, Janette?

- Z przyjemnością napiłabym się kawy - oświadczyła trzydziestosiedmioletnia kobieta, siadając w fotelu i zakładając nogę na nogę. Miała naprawdę zgrabne nogi, a ich złocistobrązowy kolor uwypuklała jeszcze biała sukienka. - Wpadłam jedynie do hotelu, by zostawić bagaże, i nie miałam jeszcze nic w ustach.

Diana nie ruszała się z miejsca.

- Dobrze wiesz, że nie taki był sens mojego pytania. Niebieskie oczy stały się ociupinkę mniejsze.

- Czyżbym nie mogła tu liczyć nawet na filiżankę kawy?

Diana dzielnie wytrzymała jej świdrujące spojrzenie.

- Nie możesz liczyć na nic, bo nic ci nie jestem winna.

Janette wzdrygnęła się, jakby została spoliczkowana. Na chwilę wściekłość oszpeciła jej twarz.

- Winna mi jesteś dużo więcej niż tylko... - Przerwała i próbowała uspokoić oddech. - Ta kawa, którą podają w samolotach, to ohydna lura. Nie sposób jej pić. Pamiętam zaś, że parzenie kawy było jedną z tych kilku rzeczy, które robiłaś naprawdę dobrze.

Oczywiście, że musiała pamiętać o czymś takim, skoro podczas tych paru krótkich letnich okresów, które Diana spędziła u niej i Marca we Włoszech, traktowała ją może tylko trochę lepiej niż zwykłą służącą. Skojarzenie z bajką o Kopciuszku samo się tu narzucało i chociaż Janette nie była aż tak okrutna jak bajkowa macocha, dorównywała jej egoizmem.

- A poza tym - dodała - mamy ze sobą dużo do pomówienia. Chyba zgodzisz się z tym?

Stanowczo jej wizyta nie mogła być przypadkowa. Janette dowiedziała się z gazet o zaręczynach i poszła po rozum do głowy. Tak, braku inteligencji nie można jej było zarzucić.

- Nie wiem, o czym miałybyśmy rozmawiać, ale skoro już chcesz kawy, a ja dziś jeszcze swojej nie piłam, to ostatecznie mogę tu przynieść dzbanek i dwie filiżanki.

- Jak to miło z twojej strony - mruknęła Janette. Diana była świadoma, że w swym zachowaniu niewiele się różni od obrażonego dziecka, lecz czuła się całkiem rozstrojona nerwowo. Jej ręce trzęsły się, a serce waliło jak młotem. Zamiast więc od razu zabrać się do parzenia kawy, usiadła w kuchni na taborecie i zamknęła oczy.

Janette z pewnością musiała dowiedzieć się o jej i Reece'a zaręczynach, otwartą natomiast pozostawała kwestia, co macocha spodziewała się osiągnąć przez swój przyjazd do Londynu. Bo, że sprowadził ją tutaj konkretny cel, tego Diana była więcej niż pewna. Janette nie robiła niczego bez powodu.

Zagubiona w myślach, Diana poczuła nagle na nodze miękkie futerko Puddle. Spojrzała na przyjaciela i zobaczyła w jego zielonych oczach coś jakby współczucie. Pochyliła się i delikatnie szarpnęła go za ucho.

Wiesz, kto się zjawił, Puddle? Duch dawnych lat, widmo mojego dzieciństwa.

Faktycznie, tę niespodziewaną wizytę Janette Diana odczuła jak spotkanie z duchem. Pojawił się, aby przeszłość tym wyraziściej stała jej przed oczami i przesłoniła sobą teraźniejszość. Teraźniejszością jednak był Reece, przynajmniej ten Reece, którego kochała. Gubiąc teraźniejszość, gubiła więc i jego. Jego przede wszystkim. A już miała nadzieję, że go zatrzyma dla siebie. Poślubi go, zamurując w najciemniejszym lochu swej duszy tamten dzień i samobójczą śmierć ojca. Przybycie Janette niweczyło wszelkie nadzieje. Janette na pewno powie o wszystkim Reece'owi, a zrobi to z tym większą przyjemnością, im bardziej będzie przekonana, że Diana zdecydowała się zachować rzecz w tajemnicy. Bądź co bądź miała z Reece'em swoje własne porachunki. To on przecież uczynił ją wdową.

- Lub może nazwę ją Nemezis - zwróciła się do Puddle i przystąpiła do przygotowywania kawy.

- Rozmawiasz z kotem? - zapytała Janette od drzwi. Na jej twarzy gościło rozbawienie. - Posłyszałam głos i pomyślałam, że jest w tym mieszkaniu ktoś trzeci. Ktoś, kogo nie chcesz mi przedstawić.

Reece. Musiała mieć na myśli Reece'a.

Gdyby Reece zastał Janette w tym mieszkaniu, jego pierwszym pytaniem byłoby niewątpliwie, co je łączy, Gdyby z kolei zorientował się, że nie są przyjaciółkami, zacząłby kojarzyć pewne fakty. Był zbyt inteligentny, aby z kilku prostych przesłanek nie wyciągnąć prawidłowego wniosku. O ile w ogóle musiałby go wyciągać, to znaczy o ile Janette nie wygadałaby wszystkiego zaraz na początku. Na szczęście Reece miał cały dzisiejszy dzień zajęty i nie zachodziła obawa, że natknie się na macochę.

Zresztą zawsze byłaś nadmiernie sentymentalna, jeśli idzie o zwierzęta - dodała Janette lekko pogardliwym tonem.

W tej niedwuznacznej aluzji do ulubieńca Diany z okresu dzieciństwa kryło się szczególne okrucieństwo. Kucyk o słodkim imieniu Honey, którego dostała w prezencie od ojca, zajmował w jej dziewczęcym serduszku na tyle obszerny kącik, aby serduszko to zaczęło krwawić, kiedy wraz z całym rodzinnym dobytkiem poszedł pod młotek licytatora. Diana, która dopiero zaczynała wychodzić z odrętwienia po śmierci ojca, wpadła ponownie w wielomiesięczną apatię.

- Kawa gotowa, więc możemy przejść do salonu - powiedziała, biorąc do rąk srebrną tacę.

Janette przepuściła ją, po czym wystukując rytm obcasami wróciła na swoje miejsce w fotelu.

- Ciekawie urządziłaś to swoje mieszkanie - zauważyła, sięgając po filiżankę.

- Obie wiemy, że nie przyjechałaś tu, by komentować moje meble i dywany - odparła Diana, niemal chora z niecierpliwości.

- Raczej nie - przyznała macocha, popijając aromatyczny i czarny jak smoła napój. - Czy Reece domyśla się, że wychodzisz za niego za mąż powodowana pragnieniem zemsty?

Ten nagły cios pozbawił Dianę tchu. Gwałtownie opadła na oparcie fotela. Właściwie spodziewała się czegoś takiego, a jednak w jej ręku zabrakło tarczy, która osłoniłaby ją przed atakiem.

Janette obserwowała Dianę niczym botanik, który pochyla się nad rzadkim okazem.

- Oczywiście, że się nie domyśla, prawda? Nie ma pojęcia, że sławna modelka znana pod pseudonimem Boska jest w rzeczywistości Divinia Lambeth, córką człowieka, którego zniszczył?

Diana zwilżyła wargi.

- Mój stosunek z Reece'em nie powinien nic a nic cię obchodzić. Nie wtykaj nosa w czyjeś prywatne sprawy.

Janette beczelnie uśmiechnęła się.

- Lekka przesada, moja droga. Właśnie ja i Marco rozchodzimy się. Rozwód sam w sobie jest czymś bardzo paskudnym, ale nic na to nie poradzę, że nie mogę już dłużej znieść zachowania tego

człowieka. Niestety wszystko wskazuje na to, że Marco wykpi się zupełnie śmieszną kwotą, która nie starczy mi nawet na...

- To się z nim nie rozchodź - przerwała jej Diana. Cóż takiego mógł uczynić Marco, że Janette nagle zapragnęła rozwodu? Powodem nie mogła być przecież niewierność, gdyż do tej pory Janette tolerowała ją, widząc w niej doskonale zabezpieczenie dla swojej własnej swobody i niezależności.

- Nie jest to takie proste.

- Jeśli chodzi o Marca - rzekła Diana, krzywiąc pogardliwie wargi - to nic nie było proste, a wszystko obrzydliwe.

- Czyżbyś chciała odgrzewać swoje dziewczynskie fantazje? - zapytała Janette z ledwie dostrzegalną irytacją.

Zielone oczy Diany niebezpiecznie zabłyśły.

- Przecież wiesz dobrze, że twój mąż usiłował mnie zgwałcić, szesnastoletnią, niewinną...

- Wierutne bzdury! - wykrzyknęła Janette. - Marco nigdy nie miał powodu gwałcić żadnej kobiety czy dziewczyny, bo wszystkie one ustawiały się w kolejce do jego łóżka.

I w gruncie rzeczy nie było wiadomo, czy Janette w tej chwili potępia męża, czy też próbuje go bronić.

- A co z tymi, które bynajmniej nie umierały z pragnienia oddania się mu?

Pamięć tamtego dnia była dla Diany niemal równie bolesna, jak pamięć dnia, w którym straciła ojca. I wciąż nie mogła zrozumieć postawy i zachowania Janette, kiedy po tym, jak była napastowana

przez Marca, przybiegła do macochy z histerycznym płaczem i ze skargą, która w każdej innej kobiecie wzbudziłaby litość i czułość.

Janette leżała wówczas zamknięta w swoim pokoju i dochodziła do siebie po szaleństwach minionej nocy. Był gorący dzień i Dianie zachciało się popływać. Gdy już porządnie się zmęczyła, wyszła z wody i rozciągnęła się na brzegu basenu. Skądś zjawił się Marco. Położył się obok niej i zaczął komplementować jej pączkujące ciało. Często flirtował z nią i przekomarzał się, ale nigdy takim głosem jak tamtego popołudnia. Nagle poczuła na sobie jego ciało. Coś gorącego oparzyło jej uda. Jakimś cudem zdołała go odepchnąć. Zerwała się i pobiegła do domu. Wpadła do pokoju Janette. Ta jednak jakby nie dostrzegła jej opuchniętych warg i przerażonych oczu. Mało tego, zarzuciła Dianie wybujałą fantazję i podkochiwanie się w żonatym mężczyźnie.

Diana poczuła się przeraźliwie samotna. Oto tych dwoje ludzi, jedyne jej od śmierci ojca oparcie, okazało się zdrajcami i kłamcami. Resztę wakacji spędziła nie opuszczając prawie swojego pokoju. I nigdy więcej już nie przyjęła zaproszenia Marca i Janette.

- Nie przyszłam tu, aby roztrząsać przeszłość, Divinio - powiedziała Janette tonem pouczenia. - Chodzi o to, że rozwód, o którym ci wspomniałam, wpędził mnie w poważne finansowe kłopoty. Jestem pewna, że w związku z twoim zamiarem poślubienia Falcona...

- Nie! - wykrzyknęła Diana, a jej oczy pociemniały. - To, o czym mówisz, to jest zwykły szantaż.

- Co za brzydkie słowo!

- Jasne, że brzydkie. Brzydkich słów używamy do określania brzydkich czynów.

- Nie szantażuję cię, tylko proszę o drobną materialną pomoc, zanim nie ułożę swoich spraw. Chyba nie... - Rozległ się dzwonek u drzwi. - Nowi goście? A może to twój kochaś, Divinio?

- Nie bądź wulgarna, Janette.

Diana wstała z fotela, lecz zwlekała z opuszczeniem pokoju. Kimkolwiek była ta osoba, która dzwoniła, musiała pozbyć się jej jak najszybciej. Propozycja czy też prośba Janette, choć bez wątpienia zasługiwała na miano ohydneho szantażu, wzbudzała pewne nadzieje. Jeśli udałoby się zaspokoić apetyt macochy, to wówczas jej związek z Reece'em mógłby zostać uratowany.

Dzwonek powtórzył się.

- Na co czekasz, Divinio? - zapytała Janette, strzepując z sukienki niewidoczny pyłek. - Znam trochę Falcona i potrafię wyobrazić sobie, jakim zazdrosnym może być narzeczonym. Więc jeśli on naciska na ten dzwonek, to musisz liczyć się z tym, że za chwilę może wyważyć drzwi.

Nie, to nie mógł być Reece, ale i tak musiała iść i otworzyć. Miała nogi jak z waty. Domyślała się, co kryło się za słowami Janette „znam trochę Falcona”. Pamiętała, co mówił ojciec przed śmiercią. Chciał, aby

Reece wziął sobie jego żonę, czyli Janette, ale Reece wzgardził tym podarunkiem. Macocha mogła być w tamtych czasach jego

kochanką. Mogła zdradzać ojca, mimo że on nikogo nigdy nie zdradził.

Zdrajczyni i kłamczucha! Bo na pewno oszukiwała ją co do swojego rozwodu. Wymyśliła tę historyjkę, aby tym łatwiej było jej usprawiedliwić szantaż.

A jednak na progu stał Reece! Dzisiaj widocznie wszystko sprzysięgło się przeciwko niej. W słowniku było tylko jedno słowo, które w najwłaściwszy sposób oddawało teraz duchowy i psychiczny stan Diany - n i e s z c z ę ś l i w a.

Już na pierwszy rzut oka Reece stwarzał wrażenie podenerwowanego. Miał bladą, zmęczoną twarz i nie trzeba było wielkiej spostrzegawczości, by zauważyć, że dziś rano nie ogolił się ze zwykłą starannością.

- Diano! Wpadłem, bo jestem ci winien pewne wyjaśnienie odnośnie wczorajszego wieczoru.

Wczorajszego wieczoru? Patrzyła na niego, jakby rażona piorunem. Co się wydarzyło takiego wczorajszego wieczoru?

Spędził dzisiejszą noc przewracając się z boku na bok i walcząc z myślami, które chwilami przybierały postać sennych majaków. Rano ubrał się i pojechał do swego biura. Zanim jednak przywitał się z sekretarzem, wiedział już, że musi wracać do samochodu i pędzić do Diany. Musiał wyznać jej całą prawdę o sobie.

Postąpił zgodnie z wewnętrznym nakazem. Przebijając się zatłoczonymi ulicami miasta, popadał w najróżniejsze stany i nastroje. Raz przepełniały go wina i ból, innym znów razem miłość i czułość.

Ale nad wszystkim tym dominował strach. Paniczny strach przed utraceniem Diany.

Kiedy zobaczył jej umęczoną twarz, pomyślał, że pewnie również nie spała tej nocy.

Rozpostarł ręce, chciał ją przytulić do serca, lecz Diana cofnęła się. Czyżby domyślała się prawdy? A może podczas tej bezsennej nocy doszła do wniosku, że nie może zgodzić się z jego stanowiskiem i najlepiej zrobi, jeżeli zerwie zaręczyny? Boże, musiał jak najszybciej wszystko jej wytłumaczyć.

-Nie wiem, o czym mówisz, Reece, ale obawiam się, że nie jest to najlepsza pora na rozmowę.

Wiedział, że miała dziś po południu pozować do zdjęć. Zatem od wyznaczonej godziny dzieliła ich niemal wieczność. W tym czasie wszystko mogło zostać powiedziane i wysłuchane. - Musimy porozmawiać zaraz, natychmiast...

- Nie! - Uniosła rękę w przeproszającym geście. - Nic nie rozumiesz, Reece. Mam... gościa.

Odrzucił do tyłu głowę. Spojrzał na nią badawczo. Dopiero teraz uświadomił sobie, że od momentu otworzenia mu drzwi zachowywała się raczej nietypowo. Najwyraźniej swoim ciałem zagradzała mu drogę. Jasne! Nie chciała, aby spotkał się z tym kimś, kto był u niej w mieszkaniu. Lecz z kim, do diabła?!

Zazdrość chwyciła go za gardło. Bo jeśli był tam mężczyzna? I ten mężczyzna miał na imię Chris?

Pośród wielu rzeczy, które Reece uświadomił sobie tej nocy, była i ta, że Diana wprawdzie przyjęła jego oświadczenia, nosiła na palcu jego pierścionek zaręczynowy, obiecała zostać jego żoną, ale ani razu nie powiedziała mu, że go kocha.

Ominął ją i skierował swe kroki do salonu.

- Reece! - wykrzyknęła, chwytając go za ramię. - Reece, wysłuchaj mnie! To nie jest tak, jak myślisz!

Było już jednak za późno na wyjaśnianie czegokolwiek. Gwałtownym ruchem otworzył drzwi i zobaczył... kobietę. Zawahał się, poczuł się całkiem zbity z tropu. Chociaż... Ta kobieta przypominała mu kogoś. Właściwie przez te dwanaście lat niewiele się zmieniła. Zachowała swój dawny powab i kształty. Janette Lambeth. Musiała obecnie nosić inne nazwisko, gdyż niedługo po śmierci Howarda wyszła za mąż za jakiegoś Włocha, o ile sobie przypominał. A zresztą mniejsza z tym. Interesowało go co innego. Mianowicie, co Janette robiła w tym mieszkaniu? Z pewnością nie należała do przyjaciółek Diany, gdyż Dianie nie mógł odpowiadać ktoś z jej charakterkiem. Ale czy on, Reece, tak naprawdę znał kobietę, którą kochał?

Pragnęła śmierci. Chciała, by ziemia rozstąpiła się i pochłonęła ją. A potem tamci dwoje wyjaśniliby sobie wszystko z najdrobniejszymi detalami. Lecz wiedząc tak wiele, nadal mijaliby się z prawdą. Ponieważ przeszła bardzo długą drogę. Od nienawiści do miłości. Od planowania wyrafinowanej zemsty do ukochania ponad życie.

- Diana? - Pytanie to miało ostrość żyletki.

Spojrzała na Reece'a, a później na Janette. Macocha nie mogła ukryć wściekłości. Wiedziała, że plany szantażu spaliły na panewce. Na jej twarzy zakwitł jeden z kusocielskich uśmiechów.

- Reece! Tyle lat! Czy mnie poznajesz, stary przyjacielu? - zapytała w stylu romansowych filmów z lat trzydziestych.

Reece nie przypominał już w niczym czułego kochanka, jakim był przez te ostatnie tygodnie. Zimne spojrzenie salowych oczu oraz wyostrome rysy twarzy upodobiły go w jednej chwili do Reece'a Falcona, spotkanego w Paryżu,

- Janette. Nie miałem pojęcia, że ty i Diana znacie się.

- O tak, i to bardzo dobrze. - Sądząc z jej miny, Janette czuła się w tej chwili panią życia i śmierci, szafarką zgryzot i łask. - Chociaż Divinia w ciągu ostatnich lat tak bardzo się zmieniła, że gdybym spotkała ją na ulicy, nie wiem, czy bym ją poznała, jest przecież nadal moją kochaną pasierbicą.

-Divinia? - Reece spojrział gdzieś w kąt pokoju i podniósł rękę do czoła. - Ależ ja...

Nagle mgła ustąpiła i ukazał się czysty krajobraz. Już nie musiał błądzić po omacku. Teraz wszystko rozumiał.

Divinia Lambeth...

Diana Lamb nie była tą osobą, za którą się podawała. W rzeczywistości była kimś innym.

Skróciła nazwisko, zmieniła imię. Jakże łatwo człowiek może się przeobrazić, ukryć, zamaskować!

Przypomniął sobie tamten dzień i swoją sprzeczkę z Howardem Lambethem. Zresztą nie miał zamiaru się z nim sprzeczać. Chciał raczej wytłumaczyć Howardowi pewne podstawowe rzeczy. Na próżno. Do tamtego w ogóle nie docierały jego argumenty. Wyszedł, zanim doszło do najcięższych zniewag.

W drodze powrotnej do Londynu przeklinał głupotę Howarda, człowieka, który nie chciał nawet kiwnąć palcem, aby wydobyć się z finansowej matni. Jeszcze tego samego dnia przeczytał w wieczornych gazetach o jego samobójczej śmierci. Nie chciał z początku uwierzyć w prawdziwość tej informacji, tym bardziej że samobójstwo domniemywano za ledwie, lecz potwierdziła je Janette, która zadzwoniła późnym wieczorem. Powiedziała też, że naocznym świadkiem tego strasznego wydarzenia była dziewięcioletnia córeczka Howarda, Divinia. Dziecko przeżyło szok, straciło przytomność i znajdowało się w szpitalu pod opieką lekarzy.

I właśnie tym dzieckiem, tak okrutnie doświadczonym przez los, była obecna tu Diana Lamb, kobieta, którą kochał do szaleństwa. Ale Diana Lamb miała wiele wspólnego z Divinia Lambeth. Wyrosła z bólu tamtej i jej nienawiści. Bo doprawdy Divinia Lambeth miała powód, aby go nienawidzić.

Na twarzy Reece'a malowała się udreka i Diana widziała ją. Znała również jej powód. Reece cierpiał, gdyż w jednej sekundzie musiał uświadomić sobie, że nie jest kochany, przeciwnie, że jako ten kochający jest ofiarą nienawiści i zemsty. Pozostał sam ze swoją miłością i nie mógł sobie z tym poradzić.

Właśnie takim chciała go widzieć jeszcze miesiąc temu. Ale nie teraz. Bo teraz kochała go i serce jej krwawiło. Reece bowiem nigdy nie uwierzy, że wbrew sobie, wbrew wszystkim swoim planom, krocząc drogą nienawiści, wpadła w sidła miłości. Potraktuje to jako zwykłą bajeczkę, kto wie, czy nie obliczoną na zadanie mu dodatkowego bólu. Nie, raz straciwszy jego zaufanie, nigdy go już nie odzyska.

Spojrzała na Janette, z którą ożenił się jej ojciec i której w myślach musiał przecież zlecić przed śmiercią opiekę nad swoim jedynym dzieckiem. Triumfowała. Był to jednak zły triumf. Krył się za nim bowiem brak lojalności zarówno wobec zmarłego męża, jak i jego córki.

Nagle Diana zaczęła się dusić. Poczuela, że jeśli natychmiast stąd nie ucieknie, oszaleje lub rzuci się z okna. Przemozna siła pchnęła ją ku drzwiom. Wybiegła na schody, a potem na ulicę. Dostrzegła morze twarzy. Tłum napierał na nią falami. Walczyła z nim, torując sobie drogę. Stopniowo siły zaczęły ją opuszczać. Złękła się, że zemdleje, upadnie na chodnik i zostanie stratowana.

Zmieniła kierunek. Wbiegła na jezdnię. Nie dostrzegła w porę samochodu. Coś ją uderzyło. Poczuela wielką ulgę, prawie słodką błogość. Ciemność, jaka się nad nią zamknęła, miała granatowy odcień bezkresnego nieba.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Sekundy zdawały się być minutami, minuty godzinami. Czas przybrał postać oleistego wiru na powierzchni leniwie płynącej rzeki.

Reece siedział na taborecie przy szpitalnym łóżku i wpatrywał się w Dianę. Jej pierś unosiła się wolno pod śnieżnobiałą płachtą prześcieradła. Tego samego koloru były policzki dziewczyny oraz bandaż, który spowijał jej głowę, skrywając głębokie rozcięcia. Nie miała innych obrażeń. Na szczęście taksówka, która ją potraçała, ruszyła dopiero spod krawężnika i siła uderzenia nie była zbyt duża.

Liczne i dużo głębsze rany Diana nosiła na duszy. Nie zablżnione od dzieciństwa.

Reece wiedział teraz już coś, o czym nie mieli pojęcia opiekujący się Dianą lekarze. Ale też ich wiedza nic by tu nie pomogła.

Jakże musiała go nienawidzić przez te wszystkie lata. A przecież nie byłoby tego wszystkiego, gdyby Lambeth zechciał go wysłuchać. Ale tamtego dnia wpadł w jakiś bezrozumny amok. Z takim człowiekiem jedynie ktoś o cierpliwości świętego mógł dojść do ładu, zaś on, Reece, na pewno nie był świętym. Wyjechał z zamiarem powrócenia w najbliższych dniach do zasadniczego tematu rozmowy. Po kilku godzinach wiedział już jednak, że ani nazajutrz, ani za tydzień on i Howard nie zamienią ze sobą więcej ani jednego słowa.

Pamiętał, że Lambeth miał córkę, lecz oczywiście musiałby być jasnowidzem, żeby zobaczyć ją w Dianie Lamb. Jasnowidzem lub

człowiekiem trochę bardziej skrupulatnym. Bo jednak w informacjach o niej zebranych przez Paula była wyraźna luka odpowiadająca okresowi dzieciństwa, on zaś nie spróbował jej wypełnić. A przecież w końcu okazało się, że dzieciństwo Diany kładło się długim i ponurym cieniem na jej dorosłość.

W rezultacie były dwie Diany. I teraz zasadnicze pytanie brzmiało, która z nich się obudzi? Czy ta, która przyrzekła mu swoją rękę, czy też ta druga, która żądała zapłaty za śmierć swojego ojca?

Jeśli się obudzi. Lekarze zachowywali tu pewną ostrożność. Wypadek zdarzył się bez mała dwanaście godzin temu i do tej pory Diana nie odzyskała przytomności. Istniała obawa, iż stan omdlenia może przemienić się w śpiączkę.

- Bez zmian? - zapytał Chris, stając obok łóżka.

-Bez zmian - potwierdził ojciec zgnębionym głosem.

Słowa te zabrzmiały w uszach Reece'a niemal ironicznie. Bo ileż zmian wniosła Diana w jego życie, jak gruntownie je przeobraziła i nadal mogła przeobrażać. Oby tylko odzyskała przytomność. Musi wrócić do zdrowia!

Mleczne światło, spokój, cisza i bezruch. I nagle jakieś szepty. Cichną i nasilają się. Mglista poświata gaśnie, szarzeje, aby znów stopniowo nabierać jasności. Pulsowanie. Jak gdyby rozpoznała głos. Miękki, czuły, łagodny. Pamięta! to głos Reece'a!

Usłyszała swoje imię. Mówił do niej. Chciała otworzyć oczy. Na powiekach leżały ołowiane krążki.

- Obudź się, Diano. Obudź się. Błagam.

Kochała go. Wszystko, co dawne, odpłynęło. Musiała mu dać znak, że słyszy i pragnie się przedrzeć ku niemu.

- Mam ci tak wiele do powiedzenia. I nie odejdę stąd, dokąd się nie obudzisz. Chcę być pierwszą osobą, którą zobaczysz, kiedy otworzysz oczy.

Ona też tego chciała. Ujął jej dłoń i zaczął ją gładzić. Zrobiło się tak przyjemnie. Zapadła w głęboki sen.

Spała do południa następnego dnia. Obudziła się zdrowa i rześka, jakby właściwie nic się nie stało. Ale dopiero po tygodniu lekarze orzekli, że mogą puścić ją do domu.

Przez ten tydzień przewinęli się przez jej pokój prawie wszyscy znajomi i przyjaciele. Każdy bez wyjątku przychodził z kwiatami i drzwi praktycznie się nie zamykały. W rezultacie pomiędzy Dianą a Reece'em nie doszło do rozmowy sam na sam, której każde z nich w tym samym stopniu pragnęło, co się obawiało. Ale dzisiejszy dzień miał być rozstrzygający. Dziś Diana opuszczała szpital i wracała do normalnego życia. Pozostawało tylko kwestią otwartą, czy będzie to nowe życie.

Reece zjawił się punktualnie. Powitała go ubrana w zielony żakiet i długą kwiecistą spódnicę w kolorach jesieni. Wyglądała tak pięknie, że nawet plaster na jej czole zdawał się ją zdobić.

Czuła się jak jagnię przeznaczone na ofiarę. Wszystko było w rękach Reece'a. Gotowa była podporządkować się każdej jego decyzji. Przewidywała najgorsze. Nie przewidziała jednak jednego. Tego, że kiedy zajadą pod jej dom, będzie tam na nich oczekiwała Janette.

Sądząc z buntowniczego wyrazu jej twarzy, nie przyszła tu dobrowolnie.

- Za dwie godziny mam samolot! - wykrzyknęła na ich widok z irytacją. - Załatwmy to więc jak najszybciej.

- Zostaniesz z nami tak długo, jak długo będzie to konieczne - rzekł Reece lodowatym głosem, zamykając samochód i biorąc Dianę pod ramię.

Po chwili byli już w mieszkaniu. Mieszkaniu wyjątkowo pustym, gdyż Puddle nie wrócił jeszcze od Rogera.

Diana poczuła, że musi usiąść. Siły, które mobilizowała od samego rana, nagle ją opuściły. Próbowwała odgadnąć powody, dla których Reece zmusił Janette do przyścia tutaj i natrafiła niezmiennie na kompletną pustkę w głowie.

- Przejdźcie do salonu, a ja zrobię kawę - powiedział Reece.

- Nie mam czasu na kawę - zaproponowała Janette. Reece nawet nie raczył odpowiedzieć. Zniknął w kuchni, one zaś przeszły dalej i usiadły w fotelach,

Diana odchyliła głowę na oparcie i na chwilę zamknęła oczy. Poskutkowało. Poczucie, że znajduje się na pokładzie statku miotanego burzą, minęło.

- Arogancki bękart! - ni stąd, ni zowąd parsknęła Janette. Wyjęła kosmetyczkę i poprawiła makijaż. - Wiesz, Marco w końcu spuścił z tonu i rozwodzi się ze mną bez...

- Marco rozwodzi się z tobą? Sądziłam, że rozwód ma nastąpić z twojej inicjatywy.

Janette niespokojnie poruszyła się.

- A co za różnica, kto się z kim rozwodzi. Efekt w obu wypadkach jest ten sam.

Diana wzruszyła ramionami.

- Masz rację. Tylko po prostu myślałam...

- Marco; zdecydował, że musi cokolwiek się odmłodzić. Znalazł więc nową kandydatkę do swego małżeńskiego łóża.

Dwudziestotrzyletnią dziewczynę z Teksasu, której tatuś siedzi na milionach. Już dawno zauważyłam, że zaczynają pociągać go coraz młodsze kobiety, a nawet dziewczyny. Ty byłaś tego najlepszym przykładem.

- Zawsze dotąd twierdziłaś, że uważasz moją wersję o usiłowaniu gwałtu za wyssaną z palca.

Janette jakoś smętnie uśmiechnęła się i rozejrzała po pokoju.

- Gdyby Reece nie zmusił mnie do przyjscia tutaj, byłabym w tej chwili na lotnisku.

Zmieniając temat, Janette tym razem niedwuznacznie przyznała się do winy. Wszedł Reece.

- I dobrze wiesz, dlaczego cię zmusilem - powiedział, stawiając tacę z kawą na stoliku.

Janette gwałtownym ruchem odrzuciła głowę. Siedziała teraz w pozycji zaczepno- obronnej.

- Kiedy ty wreszcie przestaniesz mnie oskarżać?

- A jak sądzisz? - odparł Reece głosem mrozącym krew w żyłach.

Janette zbladła. Dawało się to zauważyć nawet pomimo jej opalenizny.

- Przecież nie cierpiała...

Boże, o kim i o czym oni rozmawiali? Diana miała wrażenie, że dzieli ją od tych dwojga całe kilometry.

- Nie cierpiała, mówisz? Byłoby to prawdą, gdyby przyjąć twoje kryteria cierpienia, Janette. Ale wedle tych bardziej przyzwoitych i ludzkich, to te osiem lat były dla niej prawdziwym koszmarem.

Janette spurpurowiała i poderwała się na nogi.

- Czyli że ja jestem nieлюдzka? Nie zostanę tu dłużej ani sekundy. Nie pozwolę się znieważać.

- Zostaniesz, Janette, daję ci na to moje słowo. I zostaniesz do momentu, kiedy cała prawda nie zostanie wreszcie wypowiedziana.

Diana uznała, że nie może być dłużej wyłącznie świadkiem wydarzeń.

- Czy któreś z was zechciałoby mi powiedzieć, o co tu właściwie chodzi?

Reece podniósł jedną brew i skierował kłujące spojrzenie swych stalowych oczu na wciąż stojącą Janette.

- A więc?

Tamta nerwowo szarpnęła rękaw sukienki.

- Dlaczego ja?... No, dobrze. - Jej rozbiegane oczy próbowały uwiesić się opatrunku na czole Diany. - Po śmierci twojego ojca Reece przyznał nam pewną dotację... To znaczy przyznał ją tobie na pokrycie kosztów nauki, wakacji i różnych innych rzeczy, ja zaś, jako

twoja prawna opiekunka, zostałam zobowiązana do rozporządzania tą sumą.

Zamilkła, uciekając ze spojrzeniem w kąt pokoju.

- Nie przerywaj - powiedział Reece. - Nie usłyszeliśmy jeszcze ani słowa o Chalford.

- Od jej ostatnich urodzin dzielą nas dopiero trzy miesiące.

Miałam zbyt wiele spraw na głowie, aby pamiętać o tej dacie.

- Twoje małżeńskie kłopoty nic mnie nie obchodzą. Liczy się tylko to, że własność Diany zagarnęłaś dla siebie.

Diana zaczęła wreszcie coś pojmować. Zrozumiała jedną konkretną rzecz. Reece łożył na jej naukę. Co nim powodowało? Czyżby nieczyste sumienie?

- Potrzebowałam pieniędzy. Musiałam z czegoś żyć.

Przejęta sama sobą, Janette najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo w tej chwili wzburzony był Reece.

- Okradając dziecko! Dziecko, które w dodatku nosiło na duszy trwałe blizny po tragedii, jaką przeżyło.

Janette wybuchnęła nieprzyjemnym śmiechem.

-To dziecko z jego gibkim, opalonym ciałem potrafiło zamieszać w głowie i... w zmysłach dorosłemu mężczyźnie. Już wtedy o mało co nie straciłam Marca.

- Kłamiesz, Janette! - wybuchnęła Diana. Ta rozmowa z minuty na minutę stawała się coraz bardziej nieprawdopodobna. - Reece, miałam w tamte wakacje zaledwie szesnaście lat i raczej mgliste pojęcie o sprawach męsko-damskich. Ale nawet taka dziewczyna

potrafi rozpoznać gwałt, zaś Marco próbował mnie zgwałcić. A kiedy poskarżyłam się Janette, ona najpierw złożyła wszystko na karb mojej wybujałej wyobraźni, a potem wręcz zarzuciła mi, że zwyczajem podlotków podkochuję się w jej mężu.

Reece milczał, pocierając czoło, jakby bolała go głowa.

- Oczywiście, że wtedy uwierzyłam ci - przyznała macocha. - Żonom zazwyczaj nie brak jest spostrzegawczości.

-Więc dlaczego postąpiłaś tak, jak postąpiłaś? Okrutnie i bezwzględnie.

- Potwierdzenie, że wiem o wszystkim, równoznaczne byłoby z końcem mojego małżeństwa. Nie miałam wyboru, nawet wówczas, gdy w grę wchodziła moja pasierbica. Ty zaś pomogłaś mi zażegnać niebezpieczeństwo, najpierw zamykając się na resztę wakacji w swoim pokoju, a potem bardzo rozsądnie odrzucając nasze zaproszenia. Ale Marco nigdy cię nie zapomniał. Kiedy wypłynęłaś jako modelka i gazety zaczęły zamieszczać twoje zdjęcia, on je wycinał, kompletował, by od czasu do czasu, w przypływie jakiejś chorobliwej dumy, chwalić się przed znajomkami tą szczególną kolekcją.

Nagle Diana poczuła złość na samą siebie, że w ogóle wybrała ten zawód i pozwoliła się fotografować.

- Nigdy dotąd nie uderzyłem kobiety, Janette - wycodził przez zęby Reece. - Radziłbym ci jednak, żebyś nie nadużywała mojej cierpliwości i powiedziała

- Dianie wszystko o Chalford, a potem wyniosła się stąd i na zawsze zniknęła nam z oczu. Po prostu nie chciałbym zapomnieć o swoich zasadach - dokończył prawie z sykiem.

Janette na wszelki wypadek cofnęła się o kilka kroków.

-Pięknie! Grozisz mi pobiciem! A może nawet zabijesz mnie? -
W jej głosie pobrzmiwały nutki hysterii.

-Chalford!

Prychnęła jak kocica i zwróciła się do Diany.

-Chalford należy do ciebie. Przez te wszystkie lata opiekował się posiadłością wyznaczony sądownie powiernik. Nie musisz nawet odkurzać mebli, bo na pewno są odkurzone. Mnie wolno jedynie tam zamieszkać...

-Janette!

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że jeszcze chwila, a Reece straci panowanie nad sobą.

- OK, nie mam zamiaru tam przyjeżdżać. Dom jest twój, Diano, legalnie od dnia twoich dwudziestych pierwszych urodzin. W każdej chwili możesz się tam przeprowadzić.

Myśli Diany kotłowały się niczym chmara przestraszonego ptactwa. Nie mogła ułożyć ich w żaden logiczny szereg. Ów rodzinny, a utracony dom był dotąd symbolem winy Reece'a. Lecz teraz ze słów Janette zdawało się wynikać, że powinien być raczej symbolem jego wielkoduszności albo przynajmniej dowodem częściowego odkupienia win. A może Reece nie ponosił za tę straszną rodziną

tragedię takiej odpowiedzialności, jaką mu dotąd przypisywała? Jakże chciałyby w to wierzyć!

- Dlaczego? - Słyszając swój zachrypnięty głos, przełknęła ślinę. -
Czekam na jakieś wyjaśnienie.

- A czy jest tu coś jeszcze do wyjaśniania? Biedny Howard zastrzelił się...

- Już dość, Janette - przerwał jej Reece niczym cięciem miecza. -
Twoja rola na tym skończona. Teraz ja przejmuję pałeczkę.

- Doprawdy? - Janette kipiała w tej chwili ironią.

- Obyś tylko jej nie wypuścił.

- Nie zgubię jej, gdyż wiem, że Diana mi ufa.

Popatrzył na Dianę. W jej zielonych oczach malował się przestach, a zbielełe wargi drżały. Nie mógł zwlekać. Ale też nie mógł zepsuć wszystkiego nadmiernym pośpiechem. Musiał saczyć w nią prawdę powoli, aby dać jej czas na wewnętrzną przemianę i w rezultacie uratować ją dla siebie. Bowiem stawką było ich przyszłe wspólne życie.

Następnie przeniósł wzrok na Janette. Już sam widok tej zepsutej, skrajnie egoistycznej kobiety wprawiał go w gniew. Wcisnął rękę do kieszeni spodni. Przestał dowierzać samemu sobie.

- Nigdy nie zrozumieć, Janette, co Howard widział w tobie takiego, że wolał się zabić, niż żyć z myślą, że cię utracił?

- O czym ty mówisz, Reece? - pośpiesznie zapytała Diana. -
Przecież nie ona była powodem śmierci mojego ojca.

- Ależ była, kochanie. To z jej powodu umarł.

- Reece zrobił ruch, jak gdyby chciał zbliżyć się do

Diany i utulić ją w ramionach, lecz zaraz z powrotem opadł na oparcie fotela. - Otóż Howard wplątał się w interesy, które od początku szły bardzo kiepsko. Chcąc je uzdrowić, zwrócił się do mnie z prośbą o pożyczkę. Wbrew własnemu przekonaniu i tylko z racji tego, iż uważałem się za jego przyjaciela, udzieliłem mu jej. Nalegał, bym przyjął w formie zastawu posiadłość Chalford. Nigdy nie chciałem twojego domu, Diano. Ale twój ojciec był człowiekiem honoru i kiedy wszystko stracił, nie chciał cofnąć danego słowa i wycofać się z umowy. Teraz stanął przed najgorszym. Musiał powiedzieć o wszystkim żonie. I ona właśnie zadała mu śmiertelny cios. Usłyszawszy, że są bankrutami, powiedziała mu prosto w oczy, iż nie ma zamiaru dzielić z nim życia w biedzie w jakimś dwupokojowym mieszkanku w czynszowej kamienicy. Oświadczyła, że odchodzi. Howard, któremu trudno było uwierzyć w takie zimne, cyniczne okrucieństwo, wmówił sobie, że za tym wszystkim musi kryć się kochanek. Dojrzał go we mnie. Całkiem niesłusznie. Nigdy pomiędzy mną a Janette nie było najmniejszej nici sympatii, nie mówiąc już o erotycznym zbliżeniu. Prawda, Janette?

- Na miłość boską, Reece, po co odgrzewasz tę starą historię?

- Bo ma ona bezpośredni wpływ na teraźniejszość. Oczy Janette zabłyśły nienawiścią.

- W porządku, przyznaję. Faktycznie powiedziałam Howardowi, że nie mam zamiaru stać uśmiechnięta u jego boku, podczas gdy nasz statek tonie. Ale nie włożyłam mu przecież pistoletu do ręki. I nie

ponoszę odpowiedzialności za wszystkie te jego fantazje o mnie i o tobie. Ja po prostu nie jestem żoną na dobre i złe. Takich żon zresztą szukać by teraz ze świecą.

Ostatnie słowa powiedziała w drzwiach, które otworzył dla niej Reece. Chwilę jeszcze patrzyła na nich, wędrując wzrokiem od jednego do drugiego, po czym zniknęła.

A więc wystarczyło zaledwie pół godziny, trzydzieści ulotnych minut, pomyślała Diana, aby, jej świat, taki, jakim go zamroziła w lodówce swego dziecięcego bólu i swej nienawiści, uległ gruntownemu przeobrażeniu. Scena odsłoniła swoje kulisy. Wróg stał się przyjacielem, finansowy bankrut człowiekiem rozpaczliwie kochającym żonę, a naoczny świadek samobójczego czynu istotą najmniej widzącą i rozumiejącą. Ona była tym świadkiem i ona teraz przed trybunałem swojego sumienia musiała zmienić zeznania. Czyniła to z radością. Stawiała na piedestał mężczyznę, którego dotąd potępiała. Chciał przecież pomóc jej ojcu, przemówić mu do rozsądku, lecz tamten, zaślepiiony miłością, nieprzytomny z bólu, nie zauważył wyciągniętej ręki przyjaciela. A Janette? Janette była w jakimś sensie typowa. Nie umiała żyć bez pieniędzy. Gdyby życie ułożyło się jej ciekawiej i miała zapewniony komfort, mogłaby być nawet całkiem dobrą żoną. Czy jednak odpowiada to komuś czy nie, małżeństwo nie jest spółką akcyjną z ograniczoną odpowiedzialnością.

-Kocham cię, Reece - powiedziała ze łzami w oczach. - Mówię to dopiero teraz, lecz kocham cię od dawna. Niczego nie chcę się

wypierać. Poznałam cię, mając zupełnie inne zamiary. Z dnia na dzień coraz bardziej wątpiłam w ich słuszność. Aż wreszcie całkiem poddałam się miłości do ciebie...

Dobiegł i padając na kolana, zamknął ją w objęciach.

- Boże, Diano, najdroższa! - W oszalałym pośpiechu ją namiętnie całować jej twarz, ubranie, dłonie. - Żebyś wiedziała, co przeżyłem. Miotalem się od nadziei do zwątpienia, od zwątpienia do nadziei. Ale nawet wówczas, gdy byłem dobrej myśli, wyczuwałem twoją nieuchwytność, która nie wróżyła najlepiej. Stałem wobec tajemnicy i dręczyłem się tym.

- Przez te wszystkie lata tak bardzo nienawidziłam cię, Reece...

- Miałaś do tego pełne prawo, skoro wierzyłaś, że to ja byłem powodem twych nieszczęść.

- Winiłam cię nawet za to, co przeżyłam we Włoszech z powodu Marca.

- Ten łajdak zasługuje na to, by połamać mu wszystkie kości.

-Marco to tylko złe wspomnienie. A ja nie chcę już żyć wspomnieniami. Chcę cieszyć się teraźniejszością i patrzeć w przyszłość. I mieć cię przy sobie, Reece.

Przez chwilę zdawało się, że zmiążdży ją w uścisku.

- Będziemy zawsze razem.

-Jeżeli o mnie chodzi - powiedziała zalotnie, odzyskawszy oddech - to nie mam zamiaru nigdzie odchodzić.

- Nawet do Chalford? Należy teraz do ciebie. Nigdy nie chciałem odbierać Howardowi tego domu. Tamtego dnia próbowałem

mu to wyjaśnić. Być może, gdybym wykazał większą cierpliwość, nie doszłoby do tragedii.

- Przestań się tym zadrećzać, Reece. Przeszłości nie zmienimy, obojętnie jak bardzo byśmy tego chcieli. Możemy co najwyżej odsunąć ją na dystans.

- A potrafisz to zrobić?

- Chyba tak, Reece. Na pewno tak.

-I powrócisz do Chalford? Ten dom czeka na ciebie. A swoją drogą, twoja macocha zasługuje na surową karę. Nigdy bym nie powierzył jej opieki nad tobą, ale po śmierci Howarda musiałem mnóstwo czasu poświęcić na porządkowanie jego interesów, czy też raczej bagna w interesach, jakie pozostawił. Być może powinienem był sprawdzać ją co miesiąc. Nie chciałem jednak przypominać ci o swoim istnieniu, wiedziałem bowiem od Janette, że stałaś wówczas za kotarą i byłaś świadkiem naszej kłótni. Poza tym Janette oczywiście czarowała mnie, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, uczysz się dobrze, jesteś szczęśliwa w szkole i tak dalej... Więc co będzie z Chalford?

- Chalford - powtórzyła w zamyśleniu. - No cóż, tak czy inaczej to dom pełen duchów. Pojadę tam, żeby się pożegnać. A potem chyba go sprzedam. Co ty na to, Reece?

Na jego twarzy odmalowała się ulga.

- Uważam, że podjęłaś właściwą decyzję. Gdybyś zamieszkała tam, zamieszkałbym razem z tobą, lecz muszę przyznać, że żylibyśmy pod ciśnieniem wspomnień i widm przeszłości. - Przerwał i wziął

głęboki oddech. - Diano, jest jeszcze jedna rzecz, o której musimy porozmawiać. Pamiętasz moją poranną wizytę, kiedy spotkałem tu Janette, a ty miałaś wypadek? Otóż przyszedłem do ciebie, by powiedzieć ci coś ważnego... ważnego dla nas dwojga.

Pamiętała bardzo dobrze. Nieraz zadawała sobie w szpitalu pytanie, czego wówczas Reece nie zdążył, jej wyjaśnić. Cokolwiek jednak teraz zostanie powiedziane, nie zmieni w niczym jej miłości do niego.

Reece widział jej gotowość przyjęcia każdej, nawet najstraszniejszej wiadomości i serce jego przepełniała miłość. Diana tak wiele przeszła, tak wiele przecierpiała. Nie chciał dodawać jej cierpienia. Ale kłamstwo byłoby czymś po stokroć gorszym, wręcz niewybaczalnym.

- Diano, pewnego wieczoru powiedziałem ci, że nie chcę mieć już więcej dzieci. Prawda jest trochę inna i nie dotyczy woli, tylko możliwości. Mam wszelkie podstawy, by sądzić, że jestem bezpłodny.

Jak można było się spodziewać, wyznanie to kompletnie zaskoczyło Dianę.

-Ale... przecież jest Chris!

Wstał i nerwowym krokiem jął przechadzać się po pokoju. Niczego bardziej nie pragnął niż dziecka, dziecka z Dianą. Córeczki, która odziedziczyłaby po niej złociste włosy i zielone oczy, i syna, w którym mógłby się przejrzeć jak w lustrze. Ale pech chciał...

-Chorowałem na świnkę. Było to kilkanaście lat temu, Choroba miała bardzo ostry przebieg. Szanse, że zachowałem płodność, są praktycznie żadne.

Zmarszczyła brwi.

- A więc nie jesteś tego całkowicie pewien? Chodzi mi o to, czy poddawałeś się odpowiednim badaniom?

Nienawidził nawet myśli o czymś takim. Dokąd jego pewność zamykała się w wielkości dziewięćdziesięciu kilku procent, mógł trzymać swoje kalectwo na obrzeżach świadomości. A poza tym przez te wszystkie lata nie zamierzał się ożenić i stąd ranga problemu była całkiem inna niż teraz, kiedy spotkał Dianę. Prosząc ją o rękę, chciał przede wszystkim jej i nie myślał o dzieciach. Dopiero później rzecz cała przedstawiła mu się jako niezmiernie istotna.

- Dla ciebie gotów jestem się poddać.

- Świnka - powiedziała wolno, na poły do siebie. -Reece, kiedy dokładnie zachorowałeś?

Wzruszył ramionami. Jego zdaniem nie tyle data choroby była tu ważna, co jej skutki. - Niedługo po śmierci twojego ojca. Gdzieś w tydzień. Czterdziestostopniowej gorączki, nie mówiąc już o innych nieprzyjemnych objawach, tak łatwo się nie zapomina.

Diana kiwnęła głową jak ktoś, kto znajduje potwierdzenie dla swoich hipotez.

- To się zgadza. - Krótco roześmiała się. - Wszystko teraz jest jasne. - Wstała i podeszła do niego. - To ja cię zaraziłam, mój ty biedaku. Stałam wówczas za tą kotarą między innymi dlatego, że

zostałam w domu. A pozostałam w domu z powodu choroby.
Chorowałam na świnkę! To znaczy tamtego dnia czułam się już
zupełnie dobrze, ale wirus, przypuszczam, panoszył się jeszcze wokół.
Uraczyłam cię tym wirusem. Czy nie jest to w gruncie rzeczy
śmieszne?

Oczywiście, że było to śmieszne, zabawne, cudowne! Cudowna
mianowicie była ta nieprzerwana, jakkolwiek ukryta obecność Diany
w jego życiu.

- Zemściłaś się, zanim pomyślałaś o prawdziwej zemście.

Tym razem wspólnie się roześmiali.

- Na to wygląda. I dlatego sędzę, że nie jesteś bezpłodny. Los nie
doświadcza tak okrutnie ludzi, którzy mają ze sobą tyle wspólnego.

Objął ją i przytulił do swej szerokiej piersi.

- A jeśli los jest ślepy?

-To i tak mamy siebie. Wszystko inne nie ma znaczenia.

Szczerłość tego wyznania potwierdzały jej oczy. Spojrzał w ich
zieloną toń i zobaczył cudowną krainę miłości.

EPILOG

-Diana? Diana!

Usłyszała wołanie i nie otwierając oczu, uśmiechnęła się. Czowała się taka śpiąca, taka ociężała. Reece obudził ją o świcie żarliwym pocałunkiem i do wschodu słońca kochali się. A potem trzeba było już wstawać, gdyż w ich pięknym, nowo kupionym domu w Berkshire zaczynał się kołowrót dnia. Słońce stało już wysoko na niebie, kiedy znalazła wreszcie chwilę na odpoczynek. Wycofała się do salonu i usiadłszy w fotelu, zapadła w drzemkę. A teraz rozlegała się kolejna pobudka. Domyślała się, co oznacza ten sygnał.

Otworzyła oczy akurat w momencie, gdy Reece pojawił się w drzwiach.

- Ach, tu jesteś - rzekł z widoczną ulgą. - Pomocy!

Wyglądał na kompletnie zagubionego. Żółtodziób błędzący w dżungli ojcowskich obowiązków.

Zerwała się z fotela i wzięła z jego rąk najpierw jedno, a potem drugie zawiniątko. Obie córeczki darły się wniebogłosy, żądając swojej porcji mleka. Jak przystało na bliźniaczki, zawsze chciały wszystkiego równocześnie.

Diana rozpięła bluzkę i przystawiła maleństwa do piersi. Ssały z taką błogością, że aż udzieliła się ona ich rodzicom.

Spojrzeli na siebie. Dobrze pamiętali ten dzień, jakże przecież bliski, kiedy Dianę złapały bóle i po kilku godzinach urodziła Victorie

i Alexandre. Zaskoczenie było zupełne, a radość podwójna. Badania prenatalne nie wykazały bowiem bliźniaków.

- Dzięki Bogu, że zostałem ojcem, zanim przyklepią mi etykietkę dziadka - zauważył Reece.

- Mało brakowało, a byłoby odwrotnie - Roześmiała się Diana.

Chris i Maddy, pomimo przykrych zawirowań w okresie narzeczeństwa, okazali się dobranym i szczęśliwym małżeństwem. Oczekiwali teraz w radosnym nastroju swego pierwszego dziecka.

Natomiast stan duchowy Reece'a można było określić jako nie kończące się zdumienie. Jego córeczki miały już po dwa miesiące, a on wciąż nie mógł się nadziwić tej, rzecz by można, obfitości szczęścia.

Szczęście, pomyślała Diana. Dla niej oznaczało ono kochać tego mężczyznę i być przez niego kochaną.